3

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK V. Nr 6 (45) WARSZAWA, 7 LISTOPADA 1925 R. CENA NUMERU 80 gr.

TRADYCJE NIEWOLI

W KTÓRĄKOLWIEK zwrócimy się stronę, wszędzie widzimy całą masę niezadowolenia. Narzekają wszyscy, bogaci i ubodzy, reakcjoniści i rewolucjoniści. Krytyka bardzo popłaca. Im mocniejsza, tem większe zdaje się robić wrażenie. Krytykuje się nie tylko nasze stosunki gospodarcze i finansowe, lecz także nie szczędzi się i ogólnej administracji państwa, szkoły, porządku prawnego. Niezawodnie jest aż nadto wiele powodów do tej krytyki. Niepodobna też usunąć zła, gdy się go nie widzi, gdy się na nie zamyka oczy. Z drugiej jednak strony warto się zapytać, w jakim stosunku pozytywne wnioski naprawy pozostają do czysto negatywnego niezadowolenia z istniejącego stanu rzeczy. Otóż odrazu staje się widoczne, że tych wniosków jest bardzo mało, że wielu ludzi, nawet uczestniczących w życiu publicznem, nie widzi drogi wyjścia, troskę o naprawę zła zostawia innym, albo też oczekuje jakiegoś cudu, czy cudownego lekarstwa.

Skąd się bierze ten nastrój? Głównem jego źródłem nie jest bynajmniej to, że nasze położenie jest bardzo skomplikowane, że musimy walczyć z jakiemiś specjalnemi trudnościami. Zagadnienia życia państwowego są w gruncie rzeczy dość proste. Nietyle są one problemami wiedzy, ile woli zbiorowej. Gdy naród nie widzi jasnego rozwiązania trapiących go niedomagań, to przedewszystkiem dlatego, że nie umie się zdobyć na wolę patrzenia prawdzie w oczy, a chce uciec przed rzeczywistością. Chodzi tylko o to, by chcieć je przezwyciężyć.

Jeżeli u nas jest przewaga krytyki nad pozytywną pracą, ogólnego niezadowolenia nad świadomością celów, do których się dąży, to pochodzi to z paru źródeł. Jednem z nich, może najgłówniejszem, jest sprzeczność, zachodząca między naszym ustrojem politycznym, a stanem kultury politycznej społeczeństwa i jego wychowania obywatelskiego.

Mamy ustrój demokratyczny *nec plus ultra*. Już chyba nie da się wymyślić czegoś bardziej demokratycznego. Ustrój ten oddaje losy narodu w ręce mas, które przed wojną tych praw nie miały. A nawet te czynniki, które uczestniczyły przed wojną w życie publicznem, nie nawykły myśleć o całem państwie, bo przecież przedtem było to państwo obce. Wrogowie myśleli za nas, za nas też działali. Życie polityczne Polski przed wojną, to była w przeważnej części walka o zachowanie bytu narodowego; walka zawzięta, ofiarna, ale z natury rzeczy jednostronna. A przytem było nawet nakazem patrjotyzmu, by odnosić się negatywnie do wielu urządzeń państwowych, by bronić się przed wchłonięciem przez obcy organizm. Przedewszystkiem jednak szerokie masy ludności nie myślały o zagadnieniach politycznych—a dzisiej te masy mają rządzić.

Dawno już prysła wiara w cudowną moc demokratycznych urządzeń. Mówi się powszechnie o potrzebie wychowania demokracji. A wychowywanie, to proces powolny, cóż dopiero wychowywanie polityczne całego społeczeństwa, które wymaga więcej czasu, bo pracy nie jednego pokolenia, aniżeli wychowanie jednostki. Wolność uzykana nagle, nieraz może oszołomić. Murzyni, wyzwoleni w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i na Antyllach, porzucali pracę, bo w ten sposób tę wolność pojęli. To porównanie nie może ubliżać nikomu: bardzo wielu ludzi, którzy dziś mają pełnię praw obywatelskich, nie umie z tych praw korzystać, i w gruncie rzeczy kształtuje negatywnie swój stosunek do państwa, do życia publicznego.

Albowiem podstawą życia publicznego jest poczucie odpowiedzialności za losy społeczeństwa, do którego się należy, jest świadomość ofiar, które trzeba ponieść dla jego dobra, wreszcie znajomość rzeczywistości, która każe dążyć do osiągnięcia tego tylko, co jest możliwe. Niezadowolenie jest łatwo wywołać, nienawiść jest łatwo wzbudzić, bo wystarczy apelować do bardziej pierwotnych i ciemnych pierwiastków natury ludzkiej. Ale nawet najlepiej zorganizowana nienawiść może nie mieć siły twórczej — przeradza się w zwyczajny bunt niewolników.

Badacze, śledzący rozwój ruchów społecznych, oddzielają bardzo ściśle różne wojny chłopskie, „żakierje“, bunty niewolników, od właściwych ruchów społecznych, które wniosły jakieś pierwiastki pozytywne w ustrój społeczny. Cechą charakterystyczną zbuntowanego niewolnika jest to, że wie on, czego niechce, ale nie wie, czego chce; to też nawet zwycięskie bunty krótko trjumfowały, zwycięzcy ginęli w chaosie przez siebie stworzonym. Nie chcę bynajmniej twierdzić, że nam zagraża tego rodzaju przewrót, ale faktem jest, że u nas bardzo wielu ludzi ma typową psychologję zbuntowanego niewolnika. Wie czego nie chce, ale nie wie, czego chce. Nie tylko wielu ludzi, ale i wiele stronnictw, które wywierają wpływ na losy państwa.

Prawda, że każde stronnictwo jest w stanie przedstawić cały szereg postulatów, bardzo realnych, i domaga się ich urzeczywistnienia. Ale czy np. nazwiemy pozytywnym programem naprawy żądanie, by państwo „obniżyło“ ceny cukru i węgla, by zaopatrzyło ludność na zimę, gdy uwzględni się obecny stan skarbu? W chwili obecnej rozszerza się bezrobocie, obejmuje coraz szersze rzesze także i pracowników umysłowych. Otóż nasz radykalizm domaga się, by państwo wzięło na siebie, w większym niż dotychczas rozmiarze, ciężar utrzymywania bezrobotnych. Ale skąd wziąć na to pieniądzy? Jak doprowadzić do tego, by ci bezrobotni znaleźli w kraju normalne zajęcie — na to nasz radykalizm nie jest w stanie dać żadnej odpowiedzi, woła tylko bez końca: niechaj państwo się tem zajmie! Podobnie kiedyś plebs rzymski wołał o większą porcję afrykańskiego zboża, a o resztę poza *circenses* — nie wiele się troszczył.

Wiara we wszechpotęgę państwa, apelowanie do niego przy każdej sposobności, przesuwanie nań zadań, które do niego nie należą — to wszystko nie jest zwyczajnym wyrazem upowszechnienia się tak zw. etatyzmu, ani też objawem wpływu doktryny socjalistycznej. Duchowe tło tej wiary jest głębsze. Nie trzeba zapominać o tem, że ziemie polskie przeszły ewolucję społeczną, która doprowadziła do dzisiejszego ustroju, daleko później, niż wiele innych krajów, które dzisiaj mają podobny do naszego ustrój. Uwłaszczenie włościan na przeważnej części ziem polskich przeprowadzono u nas daleko później, niż na Zachodzie. A na czem polegał stosunek poddaniczo-pańszczyźniany? Na tem, że wzamian za określone robocizny, pan obowiązany był do opiekowania się poddanym. Otóż te tradycje pańszczyźniane tkwią jeszcze w duszach polskich, chociaż nie zawsze występują wyraźnie na zewnątrz. Wyrażają się one nie tylko w nienawiści do panów, lecz także i w odczuwanej instynktownie potrzebie, by ktoś opiekował się tymi, którzy niezbyt dawno byli jeszcze poddanymi, a dziś są wolnymi obywatelami. Niema dzisiaj już panów, ale jest państwo, które ma robić to, co robili dawniej panowie.

Państwo dla bardzo wielu ludzi nie jest instytucją, której oni są współtwórcami, mniej lub więcej czynnymi uczestnikami, lecz jakąś zewnętrzną, wszechwładną opiekuńczą potęgą. Stąd pochodzi, że ci ludzie nie pytają się, skąd państwo weźmie środki na wypełnienie narzuconych na nie zadań, czy potrafi im podołać, czy do nich dorosło; wierzy się, że wystarczy uchwalić ustawę, by ją można było wykonać. Społeczeństwa, które przez długi szereg pokoleń same się rządziły, pojmują trudności państwa i jego funkcjonowanie. U nas przez kilka lat żyliśmy, o ile chodzi o pojmowanie zadań państwa i jego możności, w złudzeniach, które Anglicy nazywają *fool's paradise* — rajem głupca. Ale taki raj może trwać tylko parę lat. Obecnie prysły te złudzenia. Obecnie okazuje się, że zbudowaliśmy zbyt wiele zamków na lodzie, że budować trzeba na innych podstawach.

Przesilenie obecne jest nietylko przesileniem gospodarczem i finansowem. Jest ono także przesileniem wiary we wszechwładzę państwa, demagogji, która na nie nakładała zadania nie do urzeczywistnienia, a zarazem i tej psychologji niewolniczo-poddańczej, która pobudza do niezadowolenia, ale nie jest zdolna do twórczości. Oczywiście, że tak, jak nie mogą odrazu zniknąć niedomagania gospodarcze i finansowe, tak samo i ta psychika zbiorowa nie odrazu się przeobrazi. W tej chwili musi na tem zależeć, by otamować rozkładowy wpływ złych tradycyj niewoli, by zdobyć się na twórczą wolę, na poczucie odpowiedzialności, a nie poprzestawać na narzekaniach. Nie należy lękać się prawdy, ale tępić trzeba krytykę, która nie prowadzi prostą drogą do naprawy. Życie narodu musi uprzątnąć z drogi tych, którzy potrafią tylko narzekać, wymyślać, obiecywać rzeczy, niemożliwe do spełnienia, albo też w ostateczności — oddawać się tylko tępej rozpraczy. Niema położenia tak ciężkiego, z któregoby nie potrafił wyjść naród, jeżeli czuje się naprawdę wolnym, to znaczy odpowiedzialnym za swoje losy i zdolnym do ofiar dla swojej przyszłości.

ROMAN RYBARSKI

ZMIERZCH EWOLUCJONIZMU W ETNOLOGJI

W DRUGIEJ połowie XIX wieku panowała w etnologji metoda *ewolucyjna*. Wprowadził ją uczony niemiecki A. Bastian, zasłużony twórca niezależności etnologji od innych nauk, z któremi dawniej była złączona. Według Bastiana psychika ludzka jest wszędzie jednakowa i stąd u różnych ludów powstają zupełnie niezależnie jednakowe wytwory, t. zw. idee zasadnicze (Elementargedanken), a tylko pod wpływem różnego środowiska geograficznego powstaje pewne zróżniczkowanie t. zw. idee etniczne (Völkengedanken), charakterystyczne dla poszczególnych ludów.

Teorja ta była błędna przez swą apriorycznośc, przez przesądzanie zgóry pewnych zjawisk etnologicznych i przez ustawianie faktów z życia ludzi pierwotnych w sztuczne szeregi rozwojowe, zgóry obmyślane. Wystąpiło to ze szczególną jaskrawością u socjologa angielskiego L. H. Morgana, który przez pozorną prostotę swych socjologicznych teoryj został mimowoli uznany za jednego z Ojców Kościoła socjalno-demokratycznego. Właśnie zaś ta prostota była przyczyną późniejszego upadku tych poglądów. Albowiem im bardziej wnika się w życie socjalne różnych ludów, tem bardziej niewystarczają-

cy okazuje się prosty schemat Morgana. Życie jest o wiele bogatsze, oraz bardziej zawikłane i różnokształtne, aniżeli to sobie wyobrażała szkoła ewolucyjna.

Mylność kierunku ewolucyjnego w etnologji wystąpiła ze szczególną jaskrawością w dziedzinie badań nad problemem powstania pierwszych form społecznych: rodziny, małżeństwa i państwa.

Dawni socjologowie jak Rousseau, Condorcet, Herder, Klemm, Comte byli na drodze zupełnie trafnej, twierdząc, że punktem wyjścia dla całego społecznego rozwoju była rodzina monogamiczna. Zasadę tę obalił filolog szwajcarski J. Bachofen w dziele p. t. „Das Mutterrecht“ (1861) i twierdził, że formę rodziny patrjarchalnej poprzedziła rodzina matrjarchalna, którą należy nawiązać do okresu zupełnego bezładu płciowego. Teorji tej z całym zapasem aprioryzmu pośpieszył na pomoc L. Morgan, a wkrótce oświadczyli się za nią liczni inni badacze, jak Bastian, Lubbock, Spencer, Post, Lippert, Hellwald, Kohler, Letourneau i inni.

Materjalistyczne podstawy tej teorji, wyprowadzające człowieka z dzikiego stanu zwierzęcego, podobały się szczególnie w kołach socjalistycznych i przyjęli je w swych dziełach Marx, Engels, Simon, a Bebel nawet spopularyzował w książce p. t. „Die Frau“.

Teorja o początkowym bezładzie płciowym uznana została prawie za pewnik naukowy i jako taka dotąd się tuła po różnych naszych encyklopedjach i popularnych podręcznikach.

Ale już wówczas niektórzy uczeni, Mc Lennan, C. Starcke, a przedewszystkiem znakomity socjolog fiński E. Westermarck wysunęli bardzo poważne wątpliwości. Również stanowisko negatywne zajęła etnologiczna szkoła lipska i nawet W. Wundt. Z czasem przybywało coraz więcej krytyk, ale ostateczny cios tym Morganowskim ewolucyjnym schematom zadała nowa metoda badań etnologicznych t. zw. *historyczna*, którą wprowadzili badacze, jak Fr. Ratzel, B. Ankermann, Fr. Graebner i W. Schmidt. Ratzel przy sposobności swych badań nad ludami afrykańskiemi doszedł do przekonania, że same wytwory kultury nie mogą powstawać niezależnie na różnych obszarach, ale że podobieństwa te są wynikiem wędrówki pewnego wytworu kultury z jakiegoś ośrodka, w którym ten wytwór powstał. Ratzel był więc twórcą teorji emigracyjnej, którą dalej rozwinęli Ankermann i Graebner, jako teorję kręgów kultury (Kulturkreistheorie); według tej teorji wędrują nietylko pewne poszczególne wytwory, jak np. łuk lub pewien instrument muzyczny, ale cały kompleks kultury ze wszystkiemi jego składnikami religijnemi, socjalnemi i materjalnemi. W związku z temi poglądami rozpowszechniła się metoda mapowania materjałów etnograficznych, a na podstawie nowych kryterjów osiągnięto niespodziane wyniki.

Szkoła historyczna postarała się przedewszystkiem o ustalenie szeregów chronologicznych i zapytała o dawność badanych ludów. Wówczas zaś okazało się, że u ludów posiadających najbardziej pierwotną kulturę t. zw. pigmejską nie ma śladu ani bezładu płciowego ani małżeństwa grupowego, ani poligamji, ani matrjarchatu, natomiast właśnie u tych pigmejów, ludów karlich i pigmeidów, t. j. karłowatych mamy rodzinę monogamiczną, a nawet nierozerwalną, z zupełnem równouprawnieniem kobiety, z wysoko rozwiniętą opieką społeczną i starannem chowaniem dzieci w zasadach wysoce altruistycznych. Przyczem dało się zauważyć, że rodzina jest formą społeczną starszą, aniżeli państwo, choć nigdy nie występuje w jakiemś przeciwieństwie do państwa. Ta pierwotna rodzina zawiera w sobie zarodki wszystkich późniejszych związków społecznych, politycznych, gospodarczych i intelektualno - etycznych. Małżeństwo w tej pierwotnej rodzinie zawiera się zawsze poza ścisłą grupą rodzinną, ale zupełnie dobrowolnie bez jakiegoś przymusu. Dopiero w wyższych formach kultury, a więc w kulturze patrjarchalno - totemistycznej i w kulturze matrjarchalnej, rodzina traci swą dawną idealną formę i przybiera znamiona, które przez długi czas uchodziły za najbardziej pierwotne. Były to zupełnie mylne uogólnienia, gdyż np. ludy koczownicze aryjskie, turańskie, oraz semicko-chamickie zupełnie nie przechodziły przez fazę totemizmu i matrjarchatu. Ludy te bowiem na podstawach rodziny monogamicznej rozwinęły kulturę patrjarchalną — wielko-rodzinową, która utrzymała się np. u Słowian południowych, jako zadruga, prawie do dni dzisiejszych, a u nas zanikła już w czasach historycznych.

Wobec niezwykle ciekawych wyników, do jakich doszła etnologja przez zastosowanie metody historycznej, szkoła historyczna pokonała na całej linji dawnych ewolucjonistów. Ów fakt naukowy zasługuje także na uwagę kół szerszych z tego powodu, że na teorjach socjologicznych szkoły ewolucyjnej oparły się też programy społeczno-polityczne.

ADAM FISCHER

NOWE WYDANIE I NOWE OCENY „PANA TADEUSZA“

DAWNO przez wydawców „Bibljoteki Narodowej“ zapowiadane, a przez społeczeństwo, zwłaszcza przez świat nauczycielski i literacki, z niecierpliwością wyczekiwane, nowe wydanie „Pana Tadeusza“*) ukazało się nakoniec — we wrześniu roku bieżącego. Zawdzięczamy je profesorowi Uniwersytetu Wileńskiego, Stanisławowi Pigoniowi.

Nie wdając się na tem miejscu w ocenę zasad, jakiemi się kierował wydawca przy ustalaniu tekstu „Pana Tadeusza“, nie uzasadniając ich słuszności (która jest, jeśli się nie mylimy, oczywista), stwierdzamy tylko, że wydanie opiera się nie tylko na pierwodruku z roku 1834, ale i na autografach, że wogóle jest ze wszystkich dotychczasowych wydań najlepsze. Nie będziemy także wyjaśniali czytelnikom „Myśli Narodowej“, jaki ogrom pracy włożył Pigoń w swoje wydanie „Pana Tadeusza“: kto rozumie, co to jest wydanie krytyczne tekstu, temu wyjaśniać tego nie potrzeba, a kto nie rozumie, ten także wyjaśnień nie potrzebuje, bo go one nie obchodzą. Przystępujemy więc odrazu do charakterystyki i oceny nasamprzód komentarza, dodanego do tekstu, a potem— obszernego „wstępu“, który jest zwięzłą monografją o „Panu Tadeuszu“.

Nie pierwszy Pigoń zaopatrzył arcydzieło Mickiewicza w komentarz: drogę w tym kierunku wskazał jeszcze Roman Pilat, szkoda tylko, że dotychczas wydano jedynie część jego pracy. Dużo materjału do komentarza zawiera w sobie dzieło Windakiewicza „Prolegomena do

---

*) Bibljoteka Narodowa. Serja I, nr. 83. Adam Mickiewicz. Pan Tadeusz... opracował Stanisław Pigoń. Kraków, nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej, 1925. Str. CLX i 614. Juljusz Kleiner. — O „Panu Tadeuszu“ książce budującej. Lwów, Wydawnictwo Zakładu Nar. im. Ossolińskich 1925; str. 26.

Pana Tadeusza". Charakter popularny mają objaśnienia, zawarte w dwóch bardzo cennych wydaniach, które się ukazały niedawno, już po wojnie: jedno — Kallenbacha i Łosia, drugie—Bystrzyckiego i Janika. Lecz komentarz Pigonia jest i obfitszy, i dokładniejszy, jest taki, na jaki się dawno, dawno czekało: teraz dopiero czytelnik „Pana Tadeusza" będzie mógł zrozumieć całą jego treść, wszystkie cząstki jego strony pojęciowej, znaczeniowej —w odróżnieniu od formy, od strony artystycznej, tylko bowiem do tej pierwszej ograniczył się Pigoń (jeśli nie brać w rachubę objaśnień, dotyczących historji powstawania poematu, a więc i jego kompozycji). Ta zaś redukcja komentarza jest zupełnie świadoma i — usprawiedliwiona, tłumaczy się bowiem nie tylko zamiarem dostosowania się do zasad wydawniczych „Bibljoteki Narodowej", ale prawdopodobnie i tem nadewszystko, że przy dzisiejszym stanie badań naukowych w dziedzinie estetyki, trudno komentować stronę artystyczną utworu poetyckiego, jeżeli się pragnie, żeby ten komentarz był zrozumiały dla wszystkich i żeby nie miał nic wspólnego z krytyką impresjonistyczną. A zresztą, żeby odczuć całe piękno utworu poetyckiego, trzeba przedewszystkiem zrozumieć całą jego treść. Otóż to zadanie komentarz Pigonia spełnia wręcz znakomicie: objaśnia wszystkie potrzebujące objaśnienia formy i zwroty językowe, oraz wyrazy—pospolite zarówno, jak własne, czyli innemi słowy jest komentarzem nie tylko językowym, ale także geograficznym, botanicznym, zoologicznym, gastronomicznym, astronomicznym, myśliwskim, nadewszystko zaś — historycznym, ze szczególną bowiem predylekcją, z pietyzmem nawet, objaśnia Pigoń niezliczone rysy obyczajowe, których iście królewskie bogactwo stanowi jedną z najznamienniejszych cech „Pana Tadeusza". Zwraca także pilną uwagę na źródła poszczególnych pierwiastków treści poematu, tkwiące czy to w osobistych przeżyciach poety, czy w tradycji narodowej, czy w literaturze polskiej i obcej. Krótko mówiąc, prócz językowego, widzimy tu obfity i świetny komentarz rzeczowy i historyczno-literacki, oparty w pewnej tylko mierze na licznych studjach i przyczynkach innych badaczów, głównie zaś na własnych gruntownych i rozległych badaniach, w które włożył Pigoń nie mniejszy ogrom pracy, jak w studja nad tekstem „Pana Tadeusza".

Niejedno może objaśnienie uda się z czasem uzupełnić, niejedno może wypadnie sprostować.

Oto np. na str. 7-ej „tęsknię po tobie" objaśnia Pigoń w sposób następujący: „Tak stale u Mickiewicza... W stronach rodzinnych poety taki właśnie zwrot jest w użyciu pospolitem". Ależ po pierwsze, nie tylko w stronach rodzinnych poety, a po drugie, co innego jest tęsknić po czemś," co innego „tęsknić za czemś": tęskni się po czemś — jeżeli się to coś straciło bezpowrotnie, za czemś — jeżeli strata jest tylko chwilowa; Mickiewicz powiedział: „tęsknię po tobie", bo nie miał nadziei powrotu do ojczyzny, chyba tylko — „cudem".

Na str. 37-ej do wiersza „Gadających przez nosy, a często bez nosów", mamy objaśnienie: „przez nosy— pogardliwym tonem wobec otoczenia; bez nosów, utraconych skutkiem przymiotu, choroby przywleczonej z Francji *(morbus gallicus)*". Tu należyłoby dodać, że do Polski ową chorobę przywleczono nie z Francji, tylko... z Rzymu (i to z odpustu!), jak o tem świadczy Miechowita; do Włoch przywleczono ją z Francji (a do Francji— z Hiszpanji) — humanista włoski Fracastoro napisał cały... poemat „De morbo gallico".

Do objaśnienia na str. 56-ej można dodać, że imię „Telimena" jest nie tylko w poezji Kropińskiego, ale i w „Malwinie" Marji Czartoryskiej.

Str. 100: z wiadomością, że stojący na straży żóraw, „by nie zasnąć, kamień trzyma", spotykamy się w literaturze polskiej po raz pierwszy w „Zwierzyńcu" Reja („Ale też, słyszę, kiedy śpi, dzierży w nodze kamień, aby, gdy mu upadnie, obudził się za niem"); jest ta wiadomość już w „Historji naturalnej" Plinjusza.

Komentarz o kawie (str. 104) możnaby uzupełnić wiadomością, że z poetów pierwszy wspomina o niej już Andrzej Morsztyn; z „oporem tradycjonalistów" względem picia kawy spotykamy się w komedji Niemcewicza „Pan Nowina, czyli dom pocztowy". A kiedy już mowa o Niemcewiczu, to warto zaznaczyć, że jego „Listy Litewskie", o których wspomina Pigoń na str. 43, są doskonałym komentarzem nie tylko do postaci Rykowa: i Niemcewicz mówi o panu podkomorzym, który wzywa obywateli do przystąpienia do konfederacji, a Imć pan Józef Margiewicz z Pipiszek, („który się wychował w bojaźni Boga i Moskali") przypomina trochę asesora (przez swoje moskalofilstwo); i „Listy Litewskie" także przenika „oczekiwane tęskne i radosne", i z nich bije radość na widok orłów polskich i francuskich i t. d.

W wyjaśnieniu do piosenki „Idzie żołnierz borem lasem" (str. 511) należałoby wymienić studjum o niej Tretiaka, znacznie wcześniejsze, niż studjum Wasylewskiego.

Objaśnienie na str. 379, że gra „w welba-cwelba" „pospolita była z początkiem wieku XIX wśród niższych sfer", można uzupełnić wiadomością, że nie tylko na początku, ale jeszcze i w końcu XIX wieku gra ta była bardzo popularna w domach szlacheckich (przynajmniej na Podlasiu).

Oto kilka dorywczych dodatków do komentarza Pigonia. Byłoby dobrze, gdyby każdy, kto może, pośpieszył ze swemi uzupełnieniami: z pewnością autor byłby za nie wdzięczny i, o ileby mu trafiały do przekonania, uwzględniałby je w dalszych wydaniach.

Co się tyczy „wstępu", można go śmiało nazwać zwięzłą monografją o „Panu Tadeuszu", opartą, podobnie jak komentarz, na dokładnem przestudjowaniu literatury przedmiotu, ale nadewszystko na długoletnich studjach własnych, niezmiernie wnikliwych i głębokich; to też jest to monografja w całem znaczeniu tego wyrazu oryginalna. Geneza poematu, psychologiczna zarówno, jak literacka; pełna nowych, a doskonale uzasadnionych myśli historja jego pisania, jego stopniowego wzrostu i rozrostu, w ścisłym związku z analizą budowy, a po części i techniki epickiej poematu; uwydatnienie ścisłego związku, zachodzącego pomiędzy patrjotyzmem Mickiewicza i jego poglądami na dawną, współczesną mu i przyszłą Polskę, a charakterystyką społeczeństwa w „Panu Tadeuszu"; charakterystyka obrazów przyrody, liryzmu i humoru; wyjaśnienie idei poematu: oto zagadnienia, składające się na tę piękną monografję. Jej najpiękniejszą ozdobę stasowią rozdziały o humorze i ideach przewodnich „Pana Tadeusza", głęboko wnikające nie tylko w zamiary artystyczne, ale w całą wogóle psychikę Mickiewicza w tej błogosławionej na wieki wieków chwili jego życia, której owocem jest „Pan Tadeusz". Rozdziały te są jednocześnie — na równi ze szkicami Kleinera „O Panu Tadeuszu, książce budującej" — bardzo potrzebną i świetną, druzgocącą odpowiedzią na te płytkie, niedowarzone zarzuty, które niedawno (nie gdzieindziej, naturalnie, tylko na łamach „Wiadomości Literackich") wytoczono przeciw Mickiewiczowi — ku niemałej uciesze jednej z „mniejszości narodowych" i tych wszystkich, co mają szczęście być z nią w fizycznem albo duchowem pokrewieństwie.

Na końcu swojego studjum umieścił Pigoń szczegółową bibljografję literatury o „Panu Tadeuszu" (i jego przekładów). Czy nie lepiej było ułożyć ją chronologicznie, nie zaś alfabetycznie? Nie należało także pomijać

w niej tego, co napisano o „Panu Tadeuszu“ w monografjach o Mickiewiczu: przecie n. p. odnośny rozdział w monografji Kallenbacha ma więcej wartości od różnych „studjów i notatek“.

O całości omawianej pracy Pigonia śmiało można powiedzieć, że w literaturze mickiewiczowskiej zajmuje jedno z miejsc naczelnych i że odtąd nazwisko jego będzie ściśle związane z „Panem Tadeuszem“ nie tylko w historji nauki polskiej, ale i w historji wychowania narodowego: bo przecie ten osiemdziesiąty trzeci tom „Biblioteki Narodowej“, stanowiący jej najpiękniejszą chlubę i ozdobę, nie znajdzie się tylko w rękach świata pedagogicznego i młodzieży szkolnej, ale i całego wogóle społeczeństwa polskiego.

Kilka słów jeszcze o wspomnianym szkicu Juljusza Kleinera: „O Panu Tadeuszu, książce budującej“. Niektóre omówione tutaj zagadnienia poruszył autor (dziwnym zbiegiem okoliczności!) w tym samym numerze... „Wiadomości Literackich“, w którym się ukazał głośny (swojego czasu) artykuł J. N. Millera. Całość jednak wydał dopiero później, w „Przeglądzie Warszawskim“ z wyraźnym zamiarem zbicia zarzutów, w owym artykule zawartych, nie wymieniając jednak (przez właściwą sobie ostrożność) ani nazwiska jego autora, ani nagłówka jego artykułu. Bardzo dobrze postąpił Kleiner, że ten swój szkic wydał, jako osobną broszurę, jest to bowiem jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie o „Panu Tadeuszu“ napisano. Na zarzut, że poemat Mickiewicza, przy całej swojej piękności, jest książką szkodliwą, odpowiada broszura Kleinera: to głupstwo i kłamstwo, „Pan Tadeusz“ jest książką w całem znaczeniu tego wyrazu budującą, i to bynajmniej nie tylko dlatego, że jest arcydziełem poezji, arcydzieła zaś „podnoszą i bogacą i wzmacniają tem, że są arcydziełami“, ale i dlatego jeszcze, że ideje przewodnie poematu są głęboko moralne, budujące duszę polską, że „zdrowie moralne niesie poemat tym, co go będą psychicznie naśladowali — i tym, co go zrozumieją i ukochają“. Te zaś ideje przewodnie wyjaśnia Kleiner w sposób jasny, prosty, a tak głęboki, jak tylko umysł filozoficzny uczynić to może, — i to wszystko na stronicach dwudziestu sześciu: kto inny nie roztoczyłby takiego bogactwa myśli na stronicach dwustu sześćdziesięciu. To też byłoby bardzo do życzenia, aby ta broszurka znalazła się w rękach — wszystkich.

Jedna uwaga. Na str. 18-ej czytamy, co następuje: „Społeczeństwo, przedstawione w „Panu Tadeuszu“, nie może zdobyć się na planowe działanie ogólne. Zbyt niski poziom jego umysłowy, scharakteryzowany rozmową w karczmie i radą w zaścianku Dobrzyńskich. Zbyt łatwa w niem przewaga prywaty nad myślą narodową. — Mickiewicz zdawał sobie z tego sprawę — i „nieoczekiwał zbawienia do akcji bojowej“. I dlatego to, zdaniem autora „nie zadowolił się w inwokacji do Matki Boskiej słowami: „Tak nas powrócisz na Ojczyzny łono“ — ale stwierdził z naciskiem: „Tak nas powrócisz c u d e m na Ojczyzny łono“. Otóż jest tutaj pewna nieścisłość: na podstawie przytoczonych słów Kleinera możnaby mniemać, że Mickiewicz „oczekiwał zbawienia“, to jest odzyskania niepodległości, od cudu, tymczasem o tem w inwokacji do Matki Boskiej nawet mowy niema: od cudu uzależniony jest tutaj — t y l k o powrót emigrantów do ojczyzny, nie zaś odzyskanie niepodległości, a to są dwie rzeczy różne: z tego przecie, że Mickiewicz nie wierzył, aby Polska mogła uzyskać niepodległość zwykłą koleją rzeczy jeszcze za życia emigrantów, wcale nie wynika, aby wogóle odzyskanie niepodległości uzależnił od cudu. W tekście „Pana Tadeusza“ niema na to żadnego dowodu.

IGNACY CHRZANOWSKI

BURZA

(FRAGMENT)

ŚMIAŁO młodzieńcze, chociaż przepaść bliska
A niebo gromem odzywa się nowym,
Z nie uchronnego wynijdziesz ogniska
W wieńcu gwiazdami iskier brylantowym.

I kataraktę niewstrzymaną w pędzie,
Przejdziesz, choć trwalsze unosi kamienie,
Strącony z góry głaz cię mijać będzie
Warcząc opodal jak bezsilne szczenie.

A ty sam jeden wśród żywiołów bitwy
Ani o błachy zawołasz ratunek
Ani płaczliwie ponowisz modlitwy,
Które przed burzą miałeś na kierunek.

I poświęcenia silny talizmanem,
Gdy inni wiosła opuściwszy klęczą;
Ty, z zapienionym walcząc oceanem
Grzywę mu dłonią ujarzmisz młodzieńczą.

A choćby nawet ciemne gardło morza,
Rozwarło otchłań wiecznie chciwą żyru,
Ieszcze w obłokach błyśnie ręka Boża
Abyś się chwycił i wydostał z wiru.

Śmiało więc zdążaj ku przeczystej cnocie,
Jeżli zaś burza wyrwie ci wawrzyny,
Myśl wskrzeszać będzie naśladowców krocie
A w posąg własne skamienieją czyny.

1841-go lata w Warszawie.

CYPRJAN NORWID

Powyższy wiersz młodzieńczy Norwida dotychczas jest prawie nieznany. Wydrukował go po raz pierwszy i dotąd jedyny Zygmunt Mocarski (obecnie bibljotekarz w Toruniu) w nieznanym zupełnie w kraju „Polskim Kalendarzu Piotrogrodzkim na r. 1916— („Rocznik Ilustrowany informacyjno-historyczno-literacki — praca zbiorowa tych, których los rzucił nad Newę“ — pod redakcją Stanisława Lisowskiego). Artykuł Mocarskiego p. t. „Album pewnego literata“ (opis bibljograficzny), mieszczący się na str. 29-45 wydawnictwa, jest sprawozdaniem z albumu-imionnika Aleksandra Tyszyńskiego, znakomitego krytyka i autora „Amerykanki w Polsce“. P. Mocarski podaje szczegółowy opis albumu, w którym w l. 1840-72 zapisywali się ówcześni literaci, w liczbie 93 osób.

Ten cenny album A. Tyszyńskiego oraz rękopis jego pamiętników, jak nas informuje p. Mocarski, zostały przez rodzinę p. p. Tyszyńskich zdeponowane w lokalu przedstawicielstwa polskiego Rady Regencyjnej w r. 1918, gdzie je opieczętowały władze bolszewickie. Niewiadomo, czy już wróciły do kraju.

Wiersz powyższy Norwida mieści się w albumie Tyszyńskiego na str. 31. P. Mocarski podaje podobiznę autografu, oraz drukuje wiersz (na str. 34 „Kalendarza“) z błędami, które poprawiłem tutaj na podstawie *fac-simile.*

„Burza“ Norwida jest jak gdyby jego „Odą do Młodości“ (pisze ją autor, mając lat 20). Charakterystyczne piętno czasu — to indywidualizm; zaś cechy osobiste Norwida są widoczne w owej ufności we wszechmoc opiekuńczej ręki Bożej, wbrew deistycznej koncepcji „Ody“ Mickiewiczowskiej.

S. C.

WILJAM SZEKSPIR

BURZA

URYWEK SCENY II AKTU I

PROSPERO: Przyjdź duchu! Przybądź, służko, mistrzowi pomagać!
(Ukazuje się Arjel)
ARJEL: Witaj, Mistrzu! Zawieją lotów
Otom przybył — otom gotów!
Ty mi rozkaż latać, pływać;
Wieści, myśli odgadywać;
Nurzać się w ogniu, lub wzbijać w lazury,
Lub dosiadać rumaków z kędzierzawej chmury.
Wszystko spełnię pod twym znakiem.
Oto jestem, wraz z orszakiem.
PROSPERO: Czyś wypełnił dokładnie, podług zaklęć roty
Burzę, com ci nakazał.
ARJEL: Panie, co do joty.
Zahaczyłem ich okręt królewski.
To na rufie, to na dziobie,
To nad burtą — to w kadłubie,
W każdem włóknie każdej deski
Nieciłem żar przerażenia.
Przesiąkłem ogniem wszystkie wiązadeł spojenia.
Czasem cały się rozszczepię,
Jak ognik wilkołaka, co migoce w stepie;
Lub widać mię naraz wszędzie:
Czasami błysnę na maszcie,
To się na drzewcu zabielę,
To się zbiegnę, to rozstrzelę.
Błyskawice Jowisza, jaskółki polotne,
Za któremi straszliwy bucha grom — tak zwrotne,
Tak niepochwytne nie są, ni tak migotliwe.
Ogień, siarki płonącej trzask, na morską niwę
Pooraną bruzdami, zatopem powieję...
Aż zadrżą potężnego Neptuna rozchwieje,
A jego groźny trójząb drgnie.
PROSPERO: Mój dzielny skrzacie!
Komuż się nie pomieszał rozum w tej zatracie,
Komuż dano na tyle stałości i męstwa,
By nie utracił zmysłów z tego czarnoksięstwa?
ARJEL: Żywy duch się nie ocali!
Rozpacz ziębi—szał ich pali.
Rozgorzeli w strachu malignie,
Głos im się rwie, dech im stygnie.
Wszyscy, prócz marynarzy, porzucili nawę
I pogrążeni w piany szumiącej kurniawę,
Zbiegli z okrętu, w którym szaleją wulkany.
Ferdynand, królewski syn,
Z włosami, jak smugi trzcin,
Splątanemi, zjeżonemi od strachu,
Skoczył w odmęt przed swemi dworzany,
Wołając: „Piekło skwar zionie,
A szatani, przy zdrajców zgonie,
Niecą stos piekielnego odwachu!"
PROSPERO: Wszak byli bliscy brzegu, mój wysłańcze?
ARJEL: Tuż obok rosną dzwonki, na których rad tańczę.
PROSPERO: Lecz ocaleli wszyscy?
ARJEL: Włos im nie spadł z głowy.
Żadną plamką nie tknięte ich szat złotogłowy,
Błyszczą tem świeższe. Służby niosąc ci rzetelne,
Rozproszyłem po wyspie gromadki oddzielne.
Królewicza wyniosłem fali kołysaniem.
Tam samotny ochładza powietrze wzdychaniem.
W dzikiem pustkowiu, ot tak, załamuje ręce.
PROSPERO: Gdzież żeglarze, gdzież jego drużby pacholęce?
Coś uczynił z okrętem, i gdzie reszta floty?
ARJEL: Bryg królewski bezpiecznie skierują piloty
Ku głębokiej przystani, (skąd niegdyś, twym posłem,
Z niespokojnych Bermudów, rosę ci przyniosłem).
Tam go ukryłem. Majtków wtrąciłem do luki.
Zdjęci czarem, zmożeni trudem, jak borsuki
Posnęli. Reszta floty, którą wiatr twój pędzi,
Zebrała się nareszcie, jak stado łabędzi,
I płynąc do ojczyzny po morzu Śródziemnem,
W swej żałości współczuciem cieszą się wzajemnem,
Bo pewni są, że okręt z królem poszedł na dno.
PROSPERO: Dzięki ci, Aryjelu, wykonałeś snadno,
Com ci zadał—lecz wkrótce bardziej cię zatrudnię.
Która godzina?
ARJEL: Panie, minęło południe.
PROSPERO: Już przeszło dwie klepsydry. Nim szósta się zmieni.
Będziem z tobą obadwaj ciężko zatrudnieni.
ARJEL: Znów robota! Gdy ciaśniej ściągasz mi pętlicę,
Pozwól, niech ci przypomnę daną obietnicę,
Dotychczas nie spełnioną.
PROSPERO: Jakto, bałamucie?
Czegóż-to myślisz żądać?
ARJEL: Wolność mi przywróćcie.
PROSPERO: Przed czasem umówionym? Cóż to za rokosze!
ARJEL: O rozważ głębiej w myśli, i przypomnij proszę,
Wszak ci nieocenione oddałem przysługi.
Nie skłamałem przenigdy; jak wół, twoje pługi
Ciągnąłem bez szemrania, bez skarg, bez pomyłek.
Wszak sam mi obiecałeś za taki wysiłek,
Przynależny rok święta.
PROSPERO: A z jakiej męczarni
Wyzwoliłem cię, pomnisz?
ARJEL: Nie.
PROSPERO: Chybki lot sarni
Poczytasz sobie za trud—gdy depcesz kipiele
Słonych głębin, jak piasek deptają gazele,
Gdy mkniesz za rozpętanych wichrów korowodem,
Na północ, gdy z żył z ziemi, wysuszonych lodem,
Dobywasz mi pożytki?
ARJEL: Sił żywych nie szczędzę.
PROSPERO: Kłamiesz, złośliwa strzygo! A pomnisz ty jędzę,
Złą, przewrotną Sykoraks, co się w kabłąk zgięła
Od wieku i zawiści? Obce ci jej dzieła?
ARJEL: Nie, panie.
PROSPERO: Wreszcie! Skądże pochodzi starucha?
ARJEL: Z Algieru, Panie.
PROSPERO: Widzisz, wskrzesła pamięć Ducha?
Czyż muszę ci co miesiąc przypomnieć wyraźnie,
Czem byłeś, by znów roztlić twoją wyobraźnię?
Otóż wiedźma Sykoraks, rodem z pod Sahary,
Za wielorakie zbrodnie i okrutne czary,
Od których słuch się wzdryga, jak wiesz, mój młokosie,
Dawnoby już w Algierze spłonęła na stosie,
Lecz za czyn pewien, kleszczom odjęta siepaczy,
Zesłana na wygnanie. Prawda?
ARJEL: Nieinaczej.
PROSPERO: Z błękitnooką wiedźmą, która była w ciąży,
Załoga marynarzy do tych wysp podąży,
Tu, gdzie znasz jeno gniazda mew i kormorany,
Porzucili ją. Nie przecz, — tyś był jej poddany!
Lecz duch, nazbyt subtelny, czar w niwecz obróci:
Nie chciałeś wykonywać jej lubieżnych chuci,
Podniosłeś bunt, więc w gniewie skarze cię ta wściekła,
Przy pomocy możniejszych służebników piekła,
I zamknie cię w szczelinie rozszczepionej jodły.
W tej szparze uwięziony, daremnemi modły
Dwanaście lat błagałeś, by cieśń się otwarła,
Przez ten czas baba-jędza samotnie umarła.
Tak trwałeś wciąż w pułapce, jękliwy jak klepki
Terkocącego młyna. Wonczas tej wysepki,
Prócz jej syna, odmieńca, siodłatej niestwory,
Nie deptał nikt.
ARJEL: Kaliban, pies djabelskiej sfory.
PROSPERO: Toć rzekłem, wartogłowie, — ów przypłodek czarci,
Kaliban, mój niewolnik. Sam wiesz, w ciasnej barci,
Jakie gniotły cię męki, gdym nadszedł; twe jęki
Wzbudzały wycie wilków; zmiękczały paszczęki
Opryskliwych niedźwiedzi pod kudłów kożuchem.
A kaźń ta wiecznym ciebie skowała nieruchem,
Bo śmierć wiedźmy na zawsze w on pień cię zasmoli,
Lecz ja cię usłyszałem, i sztuką mej woli
Sprawiłem, że się jodła rozewrze i puści.
ARJEL: Dzięki ci, dobry Mistrzu. Z okropnej czeluści
Wyzwoliłeś mię.
PROSPERO: Strzeż się, nie wszczynajmy kłótni,
Bo dąb leśny rozwidlę, niby kloc w drewutni,
I wbiję ciebie klinem w węzłowate rdzenie,
Byś skomlał lat dwanaście
ARJEL: O, zwól przebaczenie!
Będę tobie najlepszy służka i odźwierny,
Uległy w roli ducha.
PROSPERO: Dwa dni zostań wierny,
A potem cię uwolnię.
ARJEL: Mistrz, iście wspaniały.
Cóż mam czynić? Mów, spełnię— wskaż tylko. Drżę cały.
PROSPDRO: Idź i stań się rusałką morską, niewidoczną
Prócz mnie, ludzkiemu oku. Mgłą srebrno-warkoczną,
Której nikt nie dosięże. Gzła białe z wód wskrzeszaj
I przybywaj tu do mnie. Bież prędko, pospieszaj!
(Arjel znika).

Przełożyła BARBARA ZAN

N. D. D. P.

Ojcu „Chłopczycy" i jej potomstwu *).

RODZINA Cohen-Martinów składała się z trzech osób. Stanowili ją: 1) Jaques Cohen-Martin, postawny pięknosz pięćdziesięcioletni, naczelny dyrektor N. D. D. P., bogacz, komandor Legji honorowej; 2) zawsze czarująca, pomimo czterdziestki, żona jego Olga, z domu Załucka, z pochodzenia rosjanka, z zawodu malarka, 3) syn ich Cecyl, siedemnastolatek urody zaiste godnej Ganymeda, ekstern laickiego „Nouveau Licée Libre".

Pewnego wieczoru rodzina owa siedziała przy okrągłym stole, w jasnym kręgu lampy. U stóp pani domu leżał biały syberyjski chart. Wabił się Jove. Istniała legenda, że ekscentryczna artystka nie rozstawała się z nim nigdy, dosłownie nigdy. Skończono właśnie obiad. W miłem poczuciu fizycznego dosytu dopijano zwolna aromatyczną mokkę. Cecylek z wdziękiem panny na wydaniu napełnił kieliszki bursztynowym likworem. Gdy je spełniono do dna, posłał ojcu spojrzenie porozumiewawcze. Starszy pan odśmiechnął się do jedynaka, dobył tabakierkę, ozdobioną na wieczku cenną minjaturą i podał ją najpierw żonie, następnie zaś chłopcu. Z kolei sam, zaczerpnąwszy szlifowanym paznokciem dawkę kremowego proszku, wchłonął ją chciwie rozdętemi nozdrzami.

Wyciągnięci leniwie w fotelach, pogrążyli się w odurzeniu, spowodowanem przez unieszkodliwiony medycznie narkotyk. Jadalnię zaległa cisza. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stół zanurzył się bez szmeru pod podłogę, sprzątając obrus, srebra i kryształy. Niebawem wrócił na swoje miejsce, dźwigając szklany glob pełen wody, w której pląsały złote rybki.

Wtem zwisająca od sufitu lampa, przyodziana w abażur z materji perłowej, przemówiła ludzkim głosem. Służyła ona bowiem równocześnie za odbiornik telefonu bez drutu. Co wieczór o tej porze agencja informacyjna powiadamiała abonentów o najświeższych zdarzeniach.

— Dziś o godzinie trzynastej Kanclerz Rzeszy wystosował pod adresem rządu Rzeczypospolitej radjo-notę, domagającą się bezzwłocznego wypłacenia drugiej raty odszkodowań za historyczną okupację Zagłębia Ruhry. Ponieważ notę niemiecką zredagowano w tonie niedopuszczalnym, poseł francuski w Berlinie otrzymał polecenie założenia przeciwko niej kategorycznego protestu.

Wiadomość powyższa rodzinę Cohen-Martin'ów nieco zaskoczyła. Na horyzoncie politycznym od dłuższego czasu panowała pogoda. To też trzeźwiejąc zwolna, wytrzeszczali źrenice cokolwiek jeszcze zamglone i słuchali lampy z pewnem zdziwieniem.

Recytowała teraz nieskończoną litanję notowań giełdowych. We wszystkich państwach frank stał wysoko. Akcje N. D. D. P. (Stow. akc. z ogr. por.) także.

Pan Cohen-Martin machnął ręką.

— To bagatela!—powiedział lekceważąco.— O żadnym zatargu poważnym nie może być mowy. Skończy się, jak zwykle, na arbitrażach i protokułach międzynarodowych.

Wrażliwszą panią Olgę nowina trochę przejęła.

— A jeśli będzie wojna? Toby było okropne!

Spojrzała z niepokojem na męża i na syna.

— Wojna? Ha ha ha! Jakaś ty romantyczka! — zaśmiał się perliście uroczy Cecylek.— W dwudziestą drugą rocznicę istnienia Konfederacji Wiekuistego Pokoju marzą ci się jeszcze epiczne boje narodów! Jak myślisz, czy twemu pazikowi byłoby do twarzy w hełmie wojownika?

Pochylił się ku niej. Pogładziła czule złote loki chłopca, poprawiła mu krawat, i odpiąwszy od sukni pyszną orchideję, włożyła mu ją do butonierki smokinga.

— Swoją drogą komunikat jest sensacyjny — rzekł p. Cohen-Martin, zapalając cygaro.—Ciekaw jestem bardzo, co mi o tem powie mały Hindenstein, z niemieckiej ambasady. Telefonował, żeby zarezerwować mu lożę...

— Proszę cię, Jaques, żebyś mi się z tą lalą nie zadawał. — Cecyl pogroził ojcu żartobliwie palcem.—Ten wstrętny attaché ciągle do ciebie dzwoni.

— Och ty, filucie! — zawołał starszy pan. Powstał z fotela, objął jedynaka, pocałował go. Złożywszy następnie z galanterją pocałunek na ręku żony, oświadczył, że musi odejść i opuścił pokój.

Państwo Cohen-Martin nie zamieszkiwali, jakby można wnosić z komfortu ich jadalni, w jednym z tych świeżej daty „drapaczów chmur", których tyle podówczas powstało w „nowych kwartałach". Gdzież tam! Zbytkowne ich „home" mieściło się w samem „cité", w gruntownie wewnątrz przebudowanej, lewej wieżycy Notre Dame de Paris. W wieżycy prawej pozostały dzwony, zwołujące co wieczór publiczność na widowisko najprynpalniejszego ze wszystkich „music halls". Niebawem bowiem po wywłaszczeniu katedry, wskutek ostatecznego rozbratu Francji z katolicyzmem, przeistoczono ją najpierw w Narodowy Instytut Filharmoniczny, następnie zaś, gdy przedsiębiorstwo rządowe zbankrutowało, wydzierżawiono ją spółce akcyjnej, w której większość udziałów posiadał Filip de Rotschild.

Dyrektor N. D. D. P., zjechawszy windą na poziom pierwszego piętra, zastał w swoim gabinecie kierownika artystycznego instytucji, sparyzjanizowanego dokładnie łodzianina Alfonsa Pouvoir'a.

— Jak tam kasa? — zapytał, podając mu rękę.

— Mamy komplet — odrzekł wzorowy gentleman w starszym wieku.

— A biuro zamawiań?

— Oblężone.

— Co jeszcze słychać?

— Podobno Hohenlohe wręczył dziś w Elizeum listy odwoławcze. Mówią, że i Pilon powraca z Berlina...

— Co pan wygaduje? Zerwanie stosunków dyplomatycznych?

— W każdym razie wzajemne wycofanie ambasadorów.

— Zawracanie głowy! Plotki wyssane z palca. Nic z tego nie będzie. Frank stoi jak mur. Zresztą... Czy jest na sali Ulrich von Hindenstein?... Dowiemy się od niego wszystkiego z pierwszej ręki.

— Hrabia zawiadomił telefonicznie, że z loży nie skorzysta. Usadowiłem w niej Vincent'a Paquerette'a, którego spotkałem z Susette'ą Hausmann.

— Doskonale pan zrobił. Członków Akademji należy lokować na miejscach widocznych. Jakże się miewa nasz wielki nieśmiertelny i najmłodsza gwiazda Komedji Francuskiej?

— Ha no, Paquerette przeżywa trzecią młodość. Ostatnia operacja w klinice imienia Woronowa posłużyła mu niegorzej od poprzedniej. Wygląda czerstwo i jurnie. Cnotliwa Zuzanna robi wrażenie naprawdę zakochanej.

— Muszę się koniecznie z nimi przywitać. Nie miałem jeszcze okazji złożyć jej powinszowań z racji nadania jej krzyża Legji.

---

*) Ostatniemi laty ukazało się we Francji kilka książek, entuzjastycznie przedstawiających wymarzoną przez pacyfistów „Społeczność Przyszłą". N. D, D. P. jest również wizją tej społeczności, wyzutej z „przesądów" nacjonalizmu i katolicyzmu. Nie podyktował jej jednak ani entuzjazm, ani wiara, że wizja ta się spełni. Malując rozwój stosunków, jaki nastąpićby musiał, gdyby Francja wytrwała na drodze, na którą niektórzy wodzowie duchowi ją prowadzą, autor najmocniej wierzy w inną, jaśniejszą przyszłość Francji i świata.

Mówiąc to dyrektor skierował się ku drzwiom, łączącym gabinet z wewnętrznym krużgankiem katedry.

Wnętrze świątyni nie uległo znacznym zmianom. Architektura pozostała nietknięta. Usunięto wprawdzie dużo przedmiotów ruchomych, nie naruszono jednak posągów ani witraży. Posadzkę wysłano kobiercem, na ścianach rozpięto makaty, w nawie głównej ustawiono stoliki i fotele, nawy boczne obrócono na „promenoir". W kaplicach urządzono szatnie i bufety, w konfesjonałach sprzedaż papierosów. Absydę przeznaczono na bar i na dancing, zakrystję zaś na garderoby artystów. Produkcje odbywały się na podwyższeniu, w miejscu, gdzie niegdyś było presbyterjum. Stalle kapituły zamieniono w loże, orkiestrę ulokowano na chórze pod organami, kazalnica służyła „conferencier'owi" do zapowiedzi programu.

Cohen-Martin wszedł na salę podczas pierwszego antraktu. Kościół jarzył się krociami żarówek, imitujących świece. Gwar parotysięcznej ciżby zagłuszał dźwięki muzyki, przygrywającej skocznie w absydzie do tańca. Pośród publiczności przeważali cudzoziemcy. Widziało się przedstawicieli wszystkich chyba ras. Nie brakowało jednak i rodowitych francuzów, rekrutujacych się ze wszystkich klas i sfer. Pomiędzy panami we frakach i paniami w najnowszych kreacjach wielkich krawców, kręcili się źle ubrani subjekci, biuraliści, drobnomieszczanie oraz hołotka artystyczna, tradycyjna „cyganerja" z Montmartre i Montparnasse, która wchodziła za darmo. Kobiet ulicznych nie dopuszczano. Specjalnością zakładu były „mniszeczki", zwane przez yankesów „Nôtre Dame Girls". Rekrutowano je z pośród najładniejszych dziewcząt Paryża. Nosiły uniform: na głowie kornet szarytek, na biodrach girlandę z niepokalanych lilij. Garsoni usługiwali w dalmatykach djakonów, „maitre d'hôtel'e" w ornatach, „chasseur'zy" w komżach. „Barman'i" mieli habity bernardyńskie, imponujący zaś portjer przy głównem wejściu obleczony był w kardynalską purpurę. Szampana pito z kielichów, naśladujących mszalne, talerzyki do zakąsek przypominały pateny.

Wymieniając częste ukłony ze znajomymi, p. Cohen-Martin posuwał się ku presbyterjum. Vincent Paquerette poznał go z daleka i zapraszał na migi do swojej loży. Patrjarchalna broda nestora pisarzy francuskich kłóciła się z młodzieńczą żywością gestów. Witając się z dyrektorem, autor słynnego „Dziewczyca" oblał winem suknię swojej przyjaciółki.

— Oto Zuzanna w kąpieli, pomiędzy starcami!—zauważył ktoś, siedzący w loży sąsiedniej.

Niebawem zadwoniono na znak, że antrakt skończony. Lampy zgasły, oprócz jednej na ambonie. Wszedł tam „conferencier" we fraku, z infułą na głowie i pastorałem w prawicy.

Po krótkiej przygrywce organów zaintonował:

— *Adoramus feminam!*

Następnie przemówił tonem kaznodziei:

— Drogie moje, złotorunne baranki! Zobaczycie zaraz tradycyjny balet, tańczony niegdyś w Madrycie na cześć Madonny. Przypominam wam, o czem wiecie z afiszów, że trupa „Del Pilaz", która go wykona, składa się z emigrantów, pozbawionych ojczyzny. Uniósłszy wolne nogi z bolszewickiej Hiszpanji, gdzie groziły im dyby czerwonej inkwizycji, pragną uczcić tańcem gościnną Paryżankę. To ładnie z ich strony? Nieprawdaż? Proszę o potrójne brawo kabaretowe!

Stuknął trzykrotnie pastorałem. Zabrzmiały uroczyste dźwięki menueta. Snop promieni, który oświecał ambonę, wycelowano na presbyterjum. Na wielkim ołtarzu zabłysły gromnice. W kłębach wonnego dymu, bijących z trybularzy, ujrzano nieruchomą jak posąg, nagą „Coco", najcudowniejszą z modelek Montmartre'u. Powitana burzą fenetrycznych oklasków wkroczyła na podwyższenie procesja pacholąt, ubranych w starożytne hiszpańskie kostjumy dworskie z białego aksamitu i w białe kapelusze ze strusiemi piórami. Oliwkowa cera twarzyczek, błyszczące czarne oczy i krucze włosy chłopców odbijały przepysznie od połyskliwej bieli ich stroju. Pan Cohen-Martin zachwycony był zgrabnością i wdziękiem, z jakim wykonywali zawiłe figury tańca. Kiedy zaś, ukończywszy swój „numer", żegnani owacyjnie, odeszli do zakrystji, dyrektor N. D. D. P. udał się tam z powinszowaniami.

Tymczasem Cecyl, zostawszy sam na sam z matką, wyjął z kamizelki etui z lusterkiem i pomadką do ust.

— Nie zaszłabyś na chwilę na spektakl? — spytał, przyglądając się sobie, jak Narcyz, i karminując wargi.

Olga poruszyła głową przecząco.

— Doprawdy? Nie nęci cię trupa „Del Pilaz"? Podobno śliczni chłopcy...

— Nie ciekawam żadnego, kiedy jestem z tobą.

— Szkoda, że mój lepidopter jeszcze w naprawie. zawiózłbym cię z rozkoszą na spacer. Wieczór taki parny... Wiesz co? Od biedy moglibyśmy wziąść aero-taxi.

— Nie mam ochoty. Wolę posiedzieć w domu. Chodźmy na balkon. Będzie nam tam dobrze,

Wziąwszy się za ręce, wyszli na krużganek z chimerami. Jove z wywalonym stale, różowym jęzorem, podobnym do płatka fantastycznego kwiatu, podążył krok w krok za swoją panią. Wciągnęli w płuca rzeźwy powiew wiatru, zaprawionego benzyną samolotów. Pogoda była wspaniała. Na ugwieździonem niebie ani jednej chmurki. Pełnia miesięczna nasycała atmosferę świetną poświatą. Na ziemi, jak okiem sięgnąć, rozpościerał się Paryż, roziskrzony miljardem elektrycznych lamp i wszelkiego rodzaju świateł reklamowych, od których biła potężna łuna. W czystem powietrzu rysowały się wyraźnie czcigodne budowle „dawnego Paryża", robiące wrażenie domków lilipucich, w porównaniu z gmachami nowej konstrukcji. Na lewym brzegu Sekwany, odbijającej w czarnych, jak atrament, falach białe, żółte, czerwone, zielone, fioletowe latarnie wybrzeży i mostów, widać było kopuły Sorbony i Panteonu, wieżyce St. Sulpice i St. Germain de Prés, Instytut, Pałac Burboński, Inwalidów, wieżę Eiffla. Na prawym brzegu Ratusz, wieżę św. Jakuba, Hale, Luwr, Operę, Magdalenę, Łuk Tryumfalny. Na wyspie św. Ludwika czerniały zabudowania Pałacu Sprawiedliwości, z obrębu których sterczała ku niebu, zamknięta w nich, jak więzień, strzelista S-te Chapelle. Pomiędzy zaś owemi zabytkami historycznemi, niby olbrzymy pośród pigmejów, wznosiły się kilkunasto i kilkudziesięcio piętrowe hotele, magazyny, banki etc. Najwyższy z nich stał na placu Chatelet. Nad dachem jego gorzała tysiącem żarówek gwiazda Salomona. Na frontonie napis:

LIBERTE EGALITE FRATERNITE

nieco zaś poniżej:

CREDIT FRANCO — ISRAELITE

Górował on nad całą panoramą. Nie zdołał przewyższyć tylko Bazyliki Sacre Coeur na Montmartre, ostatniego kościoła, w którym tolerowano katolickie nabożeństwa. Na placu katedralnym było jasno, jak w dzień. Paliło się tam kilka łukowych księżyców. Prócz tego sam gmach z kamiennej koronki jarzył się od wewnątrz czarodziejskiemi barwami różycy głównej i bocznych witraży, niby magiczna latarnia. Jak ćmy wokół świecy, dookoła świątyni uwijały się liczne samoloty. Raz po raz niewielki biały lepidopter opuszczał się pionowo, łopocząc rytmicznie skrzydłami i przysiadał na sprężynowych nogach przed wielkim portalem. Wysadziwszy pasażerów, odlatywał natychmiast na drugą stronę placu, aby zająć miejsce śród innych maszyn, uszykowanych tam szeregami, niczem kolekcja owadów w gablocie przyrodnika.

(Dok. nast.). STEFAN JÓZEF GODLEWSKI

LIBERUM VETO

Odzyskana wielkość Niemiec. — Polityka szanuje tylko siłę. — Biada słabym, a cześć zwyciężonym, ale mocnym.— Polska na uboczu. — Izrael broniący swojego.— Steiger i Muraszko. — Przyszła sprawiedliwość.

Zdawało się, że po skończonej wojnie Niemcy, które ją wywołały i tyloma zbrodniami w niej się shańbiły, będą na długo przedmiotem nienawiści i odrazy wszystkich społeczeństw i rządów. Tymczasem okazało się coś odmienego i zgoła nieprzewidzianego.

Ten naród okrutny, pochłonny, pragnący udusić i pożreć wszystkie inne, ten naród, który przeszedł po zajętych krajach jak mór i uragan, niszczący ziemie, ludzi i dzieła ich pracy wiekowej, który wstrząsnął światem, niemogącym dotąd odzyskać spokoju i równowagi, ten naród-rabuś i morderca stał się przedmiotem życzliwości, opieki i przyjaźni swoich wrogów i ofiar. We wszystkich notach dyplomatycznych, konferencjach, zjazdach on ciągle stoi na pierwszym planie, on głównie zasługuje na uwagę, jemu czynione są największe ustępstwa i wyświadczane najcenniejsze usługi. Odroczono mu i ułatwiono spłatę długów, złagodzono kontrolę wojskową, zasilono pożyczkami, pozostawiono swobodę zmiany granic wschodnich i już przygotowywa się zdjęcie z niego klątwy za wywołanie wojny. Skąd ta wyrozumiałość, troskliwość i rozgrzeszenie? Odpowiedź prosta. Polityka nie uznaje żadnej moralności, uznaje tylko siłę. Niemcy pomimo wszystkich swoich występków są narodem silnym, a więc szanowanym i miłowanym. W ich genjuszu, pracowitości, wytwórczości, ładzie, energji, w ich kulturze, roztapiają się ich wielkie niecnoty. Świat widzi w nich powalonego i skrępowanego olbrzyma, który porwawszy więzy, znowu powstanie potężny i groźny. Oto dlaczego pogromcy Niemiec tańczą koło nich, podają im ręce uprzejmie i natarczywie, zapraszają do towarzystwa i spółki. Gdyby one były narodem słabym, ubogim, bezpłodnym i bezrządnym, zwycięzcy podzieliliby się nim, jak ongi podzielili się Polską, każdy wziąłby sobie kawał zdobyczy i pożerał go aż do zupełnego pochłonięcia. Właściwem hasłem walk politycznych nie jest: Biada zwyciężonym, ale: Biada słabym! Oto dlaczego rozgromione Niemcy są tem samem po przegranej wojnie, czem były przed nią. W tym fakcie kryje się wielka dla nas nauka. Pomimo, że naród polski zajmuje szóste miejsce w Europie co do liczebności, pomimo, że obecnie jest zorganizowany w poważne państwo, nasz minister spraw zagranicznych przy wszystkich spotkaniach i naradach dyplomatów jest ciągle trzymany przez nich w pewnem oddaleniu, czeka na wynik ich porozumienia w sąsiednim pokoju, podczas gdy Niemcowi otwierają drzwi gabinetu z niskim ukłonem. Ta różnica wypływa z różnicy siły twórczej. Świat polityczny doskonale wie, że wybuchy i wstrząśnienia rewolucyjne w Niemczech są przeważnie widowiskiem, wywołanem sztucznie dla zdurzenia opinji zagranicznej, że Niemcy pracują i wytwarzają z najwyższem wytężeniem, że zamęty w ich życiu są powierzchowne i krótkotrwałe, ze ono ciągle opiera się na ustroju silnym i sprawnym. Świat polityczny również wie, że Polska ma w swem wnętrzu tasiemca socjalistycznego, że stan jej jest „płynny“, że pracuje źle i mało, że jej organizacja ciągle się łamie i zapada, że wogóle nie jest państwem silnem i społeczeństwem z wysoko napiętą twórczością. Niech ona się uporządkuje według jakiegoś stałego systemu, niech przestanie eksperymentować, rozstrajać się, rozdzierać, zaburzać, próżnować, wtedy jej minister spraw zagranicznych będzie brał bezpośredni udział w najważniejszych naradach dyplomatycznych i nie będzie dowiadywał się o ich wyniku, jak korespondent dziennikarski, z prywatnego opukiwania i osłuchiwania milczących ministrów wielkomocarstwowych.

Obok innych reform niech Polska uwolni się od radykalizmu żydowskiego (aryjski może zachować). W ostatnich tygodniach naród wybrany znowu nam pokazał, co umie i co może. We Lwowie ktoś rzucił bombę na przejeżdżającego prezydenta Rzeczypospolitej. Spostrzegła sprawcę, dogoniła uciekającego i kazała aresztować artystka teatru. Gdyby w tym wypadku zbrodniarzem był ktokolwiek, nie Żyd i gdyby się to stało gdziekolwiek, nie w Polsce, winowajcę dawnoby osądzono i ukarano. Ale inaczej sprawa się rozwinęła, gdy bohaterem jej jest Izrael i w kraju, gdzie on panuje. Współwyznawcy otoczyli go opieką sieci intryg, zmyśleń i oszustw. Niewyczerpani w pomysłowości tego rodzaju wynajęli i podstawili szereg rzekomych przestępców, którzy, przyznawszy się do zamachu, albo się go następnie wyparli, albo zniknęli. Sąd, naciskany przez obronę, musi rozciągać dochodzenie na tych sobowtorów i przeciągać proces, powikłany temi oszustwami i niewidzący swego kresu. I kto wie, czy niegardzący żadnym środkiem w walce Izrael nie wydobędzie z rąk sprawiedliwości swego Dawida, któremu nie udało się zabić Goliata!

Nie jest przyjemne zaglądanie w pieczarę, z której dobywają się trujące wyziewy. Pomimo to chciałbym zajrzeć w duszę adwokata, który ze świadomością obmywa zbrodniarza z cudzej krwi i własnego brudu moralnego. Co w tej duszy wtedy się dzieje? Jakie w niej grają pobudki, jakie snują się uczucia, co mówi sumienie? Musi to być widok ohydny. A jednakże tylu „sofistów nowoczesnych“ — jak ich nazwał Spasowicz — przed nim się nie cofa i tylu spokojnie, niekiedy nawet tryumfalnie znosi wyrzut: okłamałeś sąd i oczyściłeś łotra! Dziwni ludzie, chyba z gatunku najgorszych.

Co to za olbrzymia różnica między żydem Steigerem, który chciał zabić prezydenta a policjantem Muraszką, który zastrzelił dwóch nikczemników, wiezionych na wymianę do Rosji! Tamten był zdradzieckim mordercą zacnego i najwyższego dostojnika państwa, ten mścicielem wielkich krzywd własnych i narodu, samosędzią ułaskawionych złoczyńców. Tamten ucieka, przyłapany wykłamuje się ze swego czynu, przerzuca swoją winę na kupionych nędzników, ten oddaje się sprawiedliwości i bez protestu przyjmuje jej wyrok.

Może przyjdzie czas, kiedy sądy wnikać będą głębiej w dusze oskarżonych i w tak zwaną ich wolną wolę. Może nie będą starały się głównie o określenie zewnętrznego stosunku jej objawów do artykułów prawa. Dziś zdarza się często, że to, co było wewnętrznym dramatem człowieka, niekłamanym przymusem i splecionym w nakaz wyrazem jego uczuć i myśli, uważane jest przy wymiarze sprawiedliwości za samowolny i oderwany od nich czyn przestępny. Zabił, a zabójstwo jest surowo zabronione — więc powinien być ukarany. Upił się i upadł na ulicy, a pijaństwo w miejscach publicznych jest zakazane, więc zostaje osadzony w areszcie. Zraniła uwodziciela, a ranić nie wolno — więc idzie do więzienia. Z takich przyczyn i skutków, z takich prostych, pozornie prawidłowych, a w rzeczywistości fałszywych wniosków składa się w znacznej mierze obecna sprawiedliwość. Przyznać jednak trzeba, że jeśli ona często nie jest słuszna, to jest praktyczna. Łatwiej z nią utrzymać w karności gromadę ludzką, która dotąd jeszcze nawet na najwyższych szczeblach kultury nie przestaje być barbarzyńską.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

SAN-OJCE POLSKI

TOCZĄCY się we Lwowie proces Steigera rozbrzmiewa po całym świecie. W jakiś niepokojący sposób ze Steigerem solidaryzują się światowe organizacje żydowskie. Jeden z posłów żydowskich otwarcie wyznał w Sejmie, że jest to proces żydowski takiego dla Żydów znaczenia, jak ongi sprawa Dreyfussa w Paryżu, Beilisa w Kijowie i t. p. Wychodzący we Lwowie dziennik żydowski „Chwila", rozszerza swoje łamy specjalnie na sprawozdania sądowe. Mamy przed sobą numer, w którym 11 wielkich stron na ten cel poświęcono. Według tendencyjnych oświetleń tego procesu w prasie polskiej rozpoznać teraz można uzależnienie jej od wpływów żydowskich.

„Słowo Polskie" we Lwowie referuje sprawę uczciwie, jak przystało na organ narodowy, zainteresowany w tem, aby na Prezydenta Rzpltej zamachów nie urządzano. W ostatnich dniach sprawozdawca sądowy tego dziennika, p. Władysław Szenderowicz, opublikował, że w gmachu sądowym zbliżył się do niego pewien osobnik, ofiarowując mu wynagrodzenie, jakie uzna za stosowne za to, że nie będzie na przyszłość pisać prawdy. Ponieważ inne dzienniki jej nie piszą, łatwy wniosek, w jaki sposób Żydzi urabiają opinję.

Wychodzący w Warszawie tygodnik „Głos Stolicy", założony przez niewiadomych ludzi w niewiadomym celu, odrazu w pierwszym zeszycie uderza w policję i sądownictwo lwowskie za to, że śmie więzić i sądzić Steigera, (schwytanego niemal na gorącym uczynku zbrodni). To samo pismo bardzo umiejętnie broni sędziego śledczego Strancmana, który wypuścił komisarza sowieckiego Leszczyńskiego, tłumacząc z żydowska, że zrobił to tylko z głupoty, bo „upadł kiedyś na głowę". Nie tylko puścił Leszczyńskiego, ale przedtem wychrzcił się. „Jeżeli chodzi o ideową stronę p. Strancmana—pisze ten obiecujący organ—to jest ona żadna, ponieważ w głowie p. Stranemana, utopionej w misce z wodą święconą, panują przeraźliwe pustki". Pismo to mówi o sobie w tytule, że jest „bezpartyjne, poświęcone sprawie s a n a c j i stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych w Polsce". Biedna ta Polska: wielu bowiem ludzi ją sanuje, a niekażdy z nich ją szanuje. Szuka Polska, ktoby jej ojcem był, narzucają się san-ojce.

Specjalny sposób „sanowania" Polski przypadł w udziale Sanojcom z klubu parlamentarnego Wyzwolenia, które na tle sprawy agrarnej usiłuje wywołać zamęt w kraju. Obstrukcja jego w Sejmie, oprócz reformy agrarnej, ma na oku inny cel—zniszczenie Sejmu. Rzecz godna podziwu—to pobłażanie p. marszałka Rataja, zbytnio angażującego się w ostatnich czasach w polityczne kombinacje, od których powinien stać zdala.

Pod hasłem sanowania dokonywały się też roboty podziemne w celu obalenia rządu; tem hasłem dymi wciąż wulkan Sulejówek, mający swój krater w „Kurjerze Porannym"; to samo hasło pokrywa dymem nieopoznaki robotę rabunkową aferzysty bankowego, mającego do dyspozycji dzienniki i stronnictwa.

Tak wyraża się ciśnienie na Polskę interesów obcych, mających na swe usługi masonerję, Żydów i prywatę polską. Wszystkie te siły podziemne bądź się wspierają, bądź ścierają z sobą z niewiadomych motywów, wybuchając od czasu do czasu swemi kraterami w prasie, w Sejmie, w rządzie, wojsku, sądach. A Polska, wciąż doznająca wstrząśnień, smrodliwie zadymiona, to jedno już skombinowała: uczciwość może popełniać błędy, ale lepiej z nią stracić, niż liczyć na wygraną z kombinatorami, mającymi do rozporządzenia podwójne atuty, podwójne rachunki, podwójne oblicza.

Nos polski zaczyna odróżniać w powietrzu składnik błędu od składnika występku.

(x)

O MYŚLI NARODOWEJ

W „DZIENNIKU WILEŃSKIM" autor J. O. w artykule p. t. „Zaniedbana dziedzina" wskazuje, jak sprytnie Żydzi zawładnęli w Polsce posterunkami literackiemi w celu zapanowania nad duszą polską. Bardzo wymowne wywody kończy słowami:

„To też czynem wielkiej przezorności i ducha patrjotycznego było rozszerzenie i zreformowanie „Myśli Narodowej", która pod kierunkiem Z. Wasilewskiego skupia obecnie najlepsze nasze siły literackie. Niestety nieumiejętność reklamowania się, w czem mistrzami są Żydzi, stoi na przeszkodzie takiego rozpowszechnienia tego pisma, na jakie ze względu na doskonałą treść swoją i tendencję narodową zasługuje".

Mistrzowstwo w reklamowaniu się Żydów polega na solidarności ich, która jest najlepszym rezonatorem. Żywioł narodowy polski zbyt wiele liczy, że wszystko samo się zrobi żywiołowo, bez solidarnego współdziałania wysiłków jednostkowych. Dziecięca to jeszcze ufność w urok dobrej sprawy.

KARA ZA GŁUPSTWO

IDZIE przez Polskę wielkie narzekanie. Ludzie doznali zawodu, „oszukali się" na Polsce. Przed wojną było źle, już przez to samo, że była niewola. Nieszczęście samo w sobie, — była ona też źródłem innych, pochodnych bied. Kiedy Polska powstanie, wszystkim będzie dobrze.

Trudno było czasu wojny i ciężko po wojnie. Ale Polska powstała, i, rzeczywiście, jakoś nie było źle. Oto Ameryka śle nam darmo: zboże, mąkę, ryż, mleko skondensowane, kakao, konserwy, przyjeżdża piękne błękitne wojsko, znakomicie zadarmo ubrane i uzbrojone, podatków się nie płaci, co w porównaniu ze stosunkami przedwojennemi stanowi wielkie uprzyjemnienie życia. Kto się na niczem nie zna i nie umie pracować, ma do wyboru posadę rządową, jaka mu do gustu przypadnie. Kto nie chce zająć posady rządowej, bardziej ceniąc gospodarczą niezależność, może pędzić beztroski żywot przy pomocy kupowania i sprzedawania drukowanych arkuszów, „akcjami" zwanych. Uprzystępnienie szerokim masom tego znakomitego środka zarobkowania, dawniej zmonopolizowanego przez grono uprzywilejowanych, stanowiło prawdziwą „zdobycz socjalną". Ale nie dość na tem.

„Czynniki miarodajne" oznajmiły narodowi, spragnionemu ziemi, że i na tym punkcie rodacy nie doznają zawodu ze strony zmartwychwstałej Ojczyzny. Oto wkrótce rząd będzie darmo rozdawał grunta, każdemu „wedle jego potrzeb". To też było zapowiedziane surowo, aby nikt się nie ważył ziemi nabywać za pieniądze, bo ten sposób zdobywania ziemi ma być zastąpiony nowym, wynalezionym po wojnie. Tymczasem, można było posiadaną mamonę zużytkować w sposób daleko przyjemniejszy, aniżeli przelewanie jej w kieszenie właścicieli gruntów. To też życie gospodarcze, uwolnione z pęt przedwojennych zasad burżuazyjnych, bujnie rozkwitało. W każdem miasteczku powiatowem powstawało np. po kilka nowych fabryk „wódek słodkich i likierów".

Pierwszorzędna „zdobycz socjalna", jaką jest prawo otrzymywania za darmo, a nawet z pewną dopłatą ze strony państwa pożądanej ilości gruntu, byłaby jednak prawdziwą niesprawiedliwością socjalną, gdyby jednocześnie nie następowały podobne „świadczenia" na rzecz innych klas społecznych. Klasie ludzi, pragnących na wsi ziemi, odpowiada w mieście klasa ludzi, potrzebują-

cych mieszkania. Przedwojenny sposób uzyskiwania dachu nad głową, przy pomocy haraczu, opłacanego na rzecz burżuazji, był niewątpliwie uciążliwy; była to forma wyzysku „mas mieszkających“ przez nieliczne jednostki, które „zawładnęły domami w miastach“. Nie poto powstała Polska, aby podobnie nienormalne stosunki trwać w niej miały. Polska powinna zapewnić obywatelowi dach nad głową. Musi nastąpić uwłaszczenie mas mieszkających; ale bez rewolucji, lecz z zachowaniem prawa własności, gdyż jest ono niezbędne, jako konieczny dla gospodarstwa narodowego obowiązek utrzymania domów w stanie używalności. Ta doniosła reforma socjalna spowodowała wielkie zadowolenie „mas mieszkających“. Mogły one zużywać na inne cele część funduszów, marnowanych dawniej na tuczenie miejskiej burżuazji. Sklepy mnożyły się, jak na drożdżach, a podwójna, potrójna ilość kin pozwalała na zacieśnienie bliższych duchowych więzów z „wielkiemi demokracjami zachodu“ — fakt niewątpliwie o doniosłem znaczeniu politycznem.

Polska byłaby dzieciom swoim macochą a nie matką, gdyby zapomniała o ludzie, pracującym w fabrykach i warsztatach miejskich. Przedewszystkiem, już to było wielką anomalją społeczną, aby ktoś musiał pracować na cudzym folwarku, cudzym warsztacie rzemieślniczym, lub w cudzej fabryce. To też jeśli się „uwłaszczyło“ lokatarów, jeśli miało się uwłaszczyć bezrolnych, w ten sam sposób należałoby także uwłaszczyć robotników po fabrykach i warsztatach. Ale jak to uskutecznić? Robotnicy, zostawszy właścicielami fabryki, musialiby nadal w niej pracować, a wtedy przepadłaby cała przyjemność stania się właścicielem.

Jedyne wyjście—to aby państwo zabrało fabryki dla siebie. Wtedy robotnicy staną się „funkcjonarjuszami“ państwa i jako urzędnicy państwowi korzystać będą z emerytur, urlopów i innych praw specjalnych. Ta doniosła reforma nie da się przeprowadzić bez zastosowania środków gwałtownych, wynalezionych na wschodzie, ale sprzecznych z naszym ustrojem demokratycznym. To też reforma ta musi być przyszykowana przez szereg „zdobyczy socjalnych“, zanim wkońcu całość jej zostanie zdobyta.

A więc w pierwszym rzędzie Polska musi okazać robotnikowi polskiemu, że jest daleko lepsza i liberalniejsza, aniżeli inne ojczyzny. Tamte zgadzają się, aby robotnik pracował „na burżuja“ po 8, 9, nawet 10 godzin dziennie. U nas „czas wyzysku“ skrócić trzeba obowiązkowo do 8 godzin dziennie, a w sobotę nawet do 6 godzin, zaś świąt mamy mieć o 20 dni więcej, aniżeli w innych państwach. Bo u nas naród jest tak religijny, że jak się okazało, największe nabożeństwo do Matki Boskiej Gromnicznej miała nasza partja komunistyczna, która o mało nie proklamowała przewrotu społecznego z powodu zamierzonego skasowania tego święta przez władze kościelne.

Ale te wszystkie zdobycze demokracji nowoczesnej bledną wobec innej, głównej zdobyczy rządów, sprawowanych pod auspicjami „Naczelnika Państwa“ i jego ludzi. Jedną z najgorszych plam ustroju przedwojennego, był niezmiernie pierwotny i uciążliwy sposób zdobywania pieniędzy. Trzeba było pracować w pocie czoła i ciułać grosz do grosza. Kapitał narastał niezmiernie powoli, pokoleniami, z trudem. Narastał kosztem tak zwanej oszczędności, to jest drogą ograniczania konsumpcji. I tu tkwił zasadniczy błąd ustroju przedwojennego.

Albowiem, ograniczenie konsumpcji idzie w parze z ograniczeniem potrzeb, a zatem prowadzi do uwsteczniania życia. Natomiast przez wydawanie całkowitego zarobku popieramy życie gospodarcze; pieniądz jest nieustannie czynny. Bogaci się handel i przemysł. Drobnomieszczańska zasada oszczędności jest przeżytkiem i powinna być odrzucona w życiu prywatnem i publicznem. Zastosowanie jej przez państwo wstrzymałoby jego „rozbudowę“, zastosowanie przez obywateli wywołałoby zastój życia gospodarczego, prowadząc do bezrobocia mas pracujących. Musi istnieć jakiś lepszy sposób tworzenia kapitału pieniężnego, niż „oszczędność“. Wszak konsumpcja jest celem życia wogóle, gospodarczego w szczególności.

Jak się okazało, nie mogło być nic słuszniejszego. Konsumpcja rosła z dnia na dzień, a pomimo to kapitał pieniężny nietylko nie wyczerpywał się, ale wzrastał. Za towar, za pracę otrzymywało się co tydzień więcej mamony. Jednocześnie wartość majątku rzeczowego tak niespodziewanie przyrastała, że rząd ustanowił podatek „od przyrostu wartości“, a bogactwo poszczególnych obywateli tak się powiększało, że finanse państwa mogły śmiało oprzeć się na drugim jeszcze podatku: „od wzbogacenia“. Wszystko to stwarzało przed narodem olśniewające perspektywy; ludzie podziwiali rozkwit i odbudowę kraju i wszyscy już widzieli, że Polska jest prawdziwem „mocarstwem“. Próżno krakali „endecy, bogoojczyźniacy, księżopańscy słudzy“, że to się źle skończy; próżno prawili o „budżecie“, piorunowali na „etatyzm“ — zwalczali „reformę rolną“, intrygowali przeciw „ochronie lokatorów“ i niektórym „zdobyczom społecznym“ — „naród“ wiedział, że przez nich przemawia tylko nienawiść do „tego robotnika“ i do „tego chłopa“, oraz partyjnictwo i złość na Komendanta za to, że z legunami pobił Moskali, a potem wywalczył Polskę na Niemcach.

Czasem na świecie bywa tak przyjemnie, że prawie nie można wytrzymać. Było w Polsce coraz lepiej. Już każdy był miljonerem, a co drugi człowiek, miljarderem. Amerykanie zazdrościli nam i nie mogli sobie nachwalić pobytu w Polsce, bo pomimo wielkiego bogactwa, było u nas, jak twierdzili, „ogromnie tanio“. Byliśmy dumni z tego, żeśmy najbogatszem ale i najtańszem państwem. Było już tak dobrze, że zaczynało być trudno wytrzymać. „To nie dobrze, gdy za dobrze“.

Spostrzeżono wkrótce, że pieniędzy jest za dużo. Akcyj za dużo. Okazało się powoli, że i wielu innych rzeczy jest w Polsce za dużo. Urzędów, sklepów, pośredników, ustaw, posłów, fabryk, banków, towarzystw akcyjnych, „opieki“, „ochrony“, „reformy“ i wszystkiego, co jest dobrodziejstwem i postępem. To wszystko niby mamy w przygniatającej ofitości, a naprawdę z tego nic nie mamy. Marek coraz więcej, a pieniędzy coraz mniej. Mieszkania są bezpłatne, a jest ich coraz mniej. Reformę rolną mamy, a parcelacja zamarła. Banki są, a kredytu niema. Ochrona pracy jest, ale niema co chronić, bo pracy brak. Ideał ograniczenia pracy urzeczywistnia się: pracujemy po trzy dni w tygodniu; burżuj przestaje „pić krew ludu“ — ale robotnik nie ma co jeść.

Najgorszy wszakże ze wszystkiego okazał się brak pieniędzy. „Naród“ zrozumiał, że w gospodarstwie narodowem „dobry pieniądz jest wszystkiem“ — i gwałtownie zażądał nowego, dobrego, prawdziwego „złotego“ pieniądza. Skoro taki pieniądz zostanie wprowadzony, to wszystko się naprawi i znowu w Polsce „wszystkim będzie dobrze“. Napróżno znowu „endecy“ tłumaczyli i przekładali, że cała Polska zorganizowana jest źle i biednie, zarówno w dziedzinie państwowej jak i gospodarczej; że tylko „oszczędnością i pracą ludy się bogacą“; że „złoty“ pieniądz sam nie da bogactwa, lecz owszem, obnaży naszą nędzę przy zewnętrznym blichtrze, nasze zacofanie przy całym pozornym „postępie“ — i całe nasze przemądrzałe, a młodzieńcze „głupstwo“. Bo i „naród“ i rząd dobrze rozumiał, że skoro będzie dobry pieniądz, to wszystko będzie dobrze, a przez „endeków“ przemawia partyjnictwo i wstecznictwo.—

Dzisiaj — mamy „kryzys“. Bankructwo, krach...

STEFAN DOBRZAŃSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

DWA PRZESILENIA

TAK się zdarzyło, że bezpośrednio po podpisaniu umów w Locarno, mających wnieść atmosferę pokoju i porozumienia w niezbyt, jak dotąd, przyjazne stosunki francusko-niemieckie, zarówno w Niemczech, jak we Francji, nastąpiły przesilenia rządowe, a w związku z niemi ostrzej, niż zwykle, zarysowały się w obu krajach spory i antagonizmy wewnętrzne. Jest to zresztą kolej losu zwykła i znana, że konieczność walki z wrogiem zewnętrznym sprowadza na wewnątrz zaprzestanie ostrych walk partyjnych (*Burgfrieden, union sacrée)*, zaś poczucie chwilowego choćby bezpieczeństwa walki te zaostrza natychmiast i podnieca. Kiedyż załatwiać spory i porachunki wewnętrzne, kiedyż brać się „za łby“ z rodakami, jeśli nie w atmosferze „wieczystego pokoju“, „międzynarodowego braterstwa“?

I w Niemczech i we Francji rzeczywistem, głębszem źródłem przesilenia jest fakt, iż z konieczności rządy parlamentarne opierają się tam nie na jednem stronnictwie, ale na koalicjach stronnictw, często znacznie różniących się programami, współzawodniczących ze sobą, niezdolnych do istotnej, trwałej i owocnej współpracy. Ale na tem kończą się też podobieństwa, zaczynają się zaś znamienne dla obu krajów różnice.

Przesilenie we Francji wynikło na tle kwestji finansowej. Caillaux, niedawno jeszcze przedstawiany przez koła radykalne, jako zbawca, Caillaux, któremu ze względu na „fachowość“ finansową zapomniano wszystkich grzechów przeszłości, zawiódł oczekiwania, pokładane w nim przez przyjaciół partyjnych i kolegów. Gdy obejmował stanowisko ministra skarbu, cena funta sterlinga wynosiła w Paryżu 93 franki, dziś za funta płaci się już franków 116. Skoro więc, oświadczając się przeciw podatkowi majątkowemu, stanął w sprzeczności z programem partji socjalistycznej, losy jego zostały przesądzone. Rząd Painlevé'go, nie posiadający stałej większości, zmuszony dla utrzymania się u steru korzystać z głosów albo „bloku narodowego“, albo socjalistów, nie miał odwagi zdecydować się na otwarte zerwanie z partją socjalistyczną. Wolał raczej wyrzec się ministra, w którego „genjusz“ finansowy z każdym dniem mniej pokładał ufności.

Powstał tedy nowy rząd Painlevé'go, tym razem bez Caillaux. Podobny do obu poprzednich rządów, tworzonych po zwycięstwie „kartelu lewicy“, składa się on z reprezentantów radykałów-socjalnych i republikanów socjalnych, a zatem m n i e j s z o ś c i i zależny jest od poparcia socjalistów. Ale poza mdłą frazeologją humanitarną, wspólną niechęcią do „bloku narodowego“ i katolików, poza, wreszcie, wspomnieniami współpracy wyborczej z okresu „kartelu“ — stronnictwa rządowe i socjaliści mało bardzo mają ze sobą wspólnego. Nie umiały dotychczas i nie chciały zdecydować się na stworzenie wspólnego rządu i programu, a ostatni „gabinet Painlevé — Caillaux“ pogłębił jeszcze istniejące między niemi różnice. Obecnie tekę skarbu objął sam premjer Painlevé, profesor matematyki, który w poprzednim gabinecie wybrał sobie stanowisko ministra wojny. Jaki będzie jego program skarbowy, czy potrafi pogodzić sprzeczne interesy i poglądy, a przedewszystkiem, czy da sobie radę z trudnem bardzo gospodarczem i finansowem położeniem Francji — przyszłość niedaleka okaże.

Przesilenie w Niemczech inne zupełnie ma przyczyny. Spowodowało je ustąpienie z gabinetu dr. Luthera trzech ministrów-nacjonalistów: Schielego, Schliebena i Neuhausa, niezadowolonych ze zbyt daleko posuniętej „ustępliwości“ p.p. Luthera i Stresemanna w Locarno. Jak wiadomo w przeciwieństwie do Francji, rząd niemiecki opierał się na stronnictwach nacjonalistycznych, prawicowych, jednakże w polityce zagranicznej niejednokrotnie posługiwał się zręcznie i skutecznie pacyfistyczną, międzynarodową frazeologją. Musiał też dawać niekiedy dowody t. zw. „dobrej woli“ i „ducha pojednawczego“, które zresztą zawsze realne bardzo polityce niemieckiej przynosiły korzyści. Nie była to wszakże polityka zgodna z zasadami nacjonalistów, to też w wypadkach tego rodzaju przechodzili oni radzi do opozycji, zaś poparcia rządowi udzielały zwalczające go w polityce wewnętrznej stronnictwa lewicy. Ten stan rzeczy był, oczywiście, bardzo dla nacjonalistów dogodny, ułatwiał też taktykę rządowi niemieckiemu wobec Ententy, pozwalając mu powoływać się na nastroje opozycyjne w kraju. Mniej jednak był on wygodny dla stronnictw lewicy, przedewszystkiem socjalistów, którym wreszcie sprzykrzyły się te patrjotyczne, a z partyjnego punktu widzenia zgoła bezinterowne usługi, oddawane nacjonalistom i rządowi. To też wobec demonstrancyjnej dymisji trzech ministrów-nacjonalistów postawili socjaliści i demokraci kwestję odpowiedzialności: w polityce zagranicznej gotowi są poprzeć tylko taki rząd, który uwzględni ich postulaty w polityce wewnętrznej. I rząd dr. Luthera nagle znalazł się w nieoczekiwanie trudnem położeniu. I tu znów przyszłość najbliższa okaże, czy potrafi te nowe trudności pokonać.

W każdym razie i we Francji i w Niemczech natychmiast po układzie locarneńskim ujawniły się poważne trudności wewnętrzne, ostre walki partyjne, przesilenia rządowe. I my również, choć nie na wszystkie posiedzenia zapraszani, do kontrahentów z Locarno należymy. Cóż dziwnego, że choć ostatnie głosowania w Sejmie niewątpliwie stanowisko rządu p. Grabskiego wzmocniły, i u nas także znaleźć można jednostki i stronnictwa, stale i wytrwale do wywołania przesilenia dążące. Tyle ambicyj wchodzi w grę, tyle interesów... IGN.

NAUKA I LITERATURA

KRYTYKI BOYA I RABSKIEGO

PRAWIE jednocześnie ukazały się dwa zbiory krytyk na podstawie premjer, wystawionych w Warszawie po wojnie: W ł a d y s ł a w a R a b s k i e g o „Teatr po wojnie“ (1918 — 1924) i B o y' a - Ż e l e ń s k i e g o „Flirt z Melpomeną“ (wieczór V sezon 1924—25). Teatr — pokazuje się — zajmuje poczesne miejsca w życiu umysłowem Warszawy, skoro wrażenia z premjer przechodzą do literatury. Wielką wartość będą miały te publikacje dla historyka teatru. Może inne dziedziny sztuki nie mogą liczyć na taką popularność, jak teatr, ale dobrze byłoby, gdyby np. recenzje muzyczne umiały znaleźć swych wydawców. Pomyśleć tylko, że istnieje w Warszawie krytyka ruchu artystycznego w malarstwie, rzeźbie i architekturze tak starannie uprawiana: z jakimże pożytkiem wziełoby się do ręki recenzje za lat kilka!

Teatr trzy razy żyje: w utworze literackim, na scenie i w krytyce. Książki Boya i Rabskiego — to utrwalenie tego, co zwykle spływa z chwilą bieżącą i z bibułą dziennika w kanał zapomnienia. Recenzje teatralne połykane są chciwie nazajutrz po premjerze—na ciepło, jak paszteciki. Niekażdy krytyk ma prawo podać je potem na zimno; wolno to robić tak utalentowanym i rutynowanym pisarzom, jak Rabski i Boy. Cokolwiekby się w poszczególnej krytyce dało powiedzieć o utrafieniu w sedno (pierwsze wrażenie działa na chybił trafił), to jednak u pisarzy tej miary, obdarzonych tak wybitnym nerwem teatralnym i tak biegle władających środkami pokazu literackiego, pozostaje w książce wiele wartości, godnych utrwalenia. Krytyka teatralna Boya i Rabskiego stanowi odrębną gałąź sztuki pisarskiej, która się wylęgła w teatrze między fotelem i sceną. To dziecko

sztuki i widza ma w obliczu rysy obojga i jeszcze kogoś trzeciego—aktora. Krytyk gra przed autorem sztuki, przed publicznością i aktorami. Uwrażliwiony na głosy sali poza sobą, na wady i uroki sztuki i na ambicje aktora, bierze nerwowo udział w przedstawieniu, jako ostatnia „kwestja" sztuki. Rutyna wyrabia w recenzentach obycie towarzyskie tak opanowane, że grają w fejletonach, wysuwając przed kinkiety dziennika swoją osobistość. Robią to, jak Boy, z wdziękiem conferencier'a, albo z pewnym koturnem dramatycznym, jak Rabski. Dla tego ich książki nie tylko dla dziejów teatru mają znaczenie, jako żywe jego kroniki, nie tylko, jako ocena dział dramatycznych; mają one swój walor własny, jako dzieła sztuki pisarskiej.

W.

PAMIĘTNIK LITETACKI

„Pamiętnik Literacki" *), dlatego chyba nazywa się „czasopismem kwartalnem" (czy nie lepsza byłaby nazwa: „kwartalnik"), że jest jako ów rok u Reja „na cztery części podzielon", t. j. na rozprawy, miscellanea, materjały i recenzje. W rzeczywistości bowiem wychodzi obecnie raz na rok, albo i rzadziej — jak Bóg da i dobrzy ludzie (czytaj: zasiłek Min. W. R. i O. P.) pozwolą.

W każdym razie po długich oczekiwaniach wyszedł nareszcie XXI rocznik „Pamiętnika", który nawet niezupełnie jest rocznikiem, jeżeli ma datę 1924/25. Ponieważ na przełomie tych dwóch lat wypadła 900-na rocznica koronacji Chrobrego, przeto zupełnie w porę na jednem z naczelnych miejsc zamieszczono rozprawę p. O. Kownackiej-Machnickiej „O poemacie Tymona Zaborowskiego Bolesław Chrobry". Poemat ów z r. 1818 i jego autor został zupełnie zapomniany przez publiczność, a pamięć jego doszczętnie pogrzebał Biegeleisen niesprawiedliwą monografją; p. Kownacka ukazuje nam istotne zalety tego poematu, wzorowanego na „Jerozolimie" Tassa, a równocześnie będącego jedną z jaskółek romantyzmu. Jedno mam do wytknięcia tej rozprawie: p. K. wyjaśnia, że postać czarnoksiężnika Błuda wprowadził poeta za przykładem Ariosta i Tassa; tymczasem osobę tego czarnoksiężnika, o temże imieniu, spotyka się już dawno w kronikach polskich — stąd też postać Błuda do poematów swoich brali i inni poeci polscy, jak Siemieński („Trąby w Dnieprze") i Lenartowicz: („Ze starych zbroic").

Innym poematom epickim z czasów klasycyzmu, mianowicie „Myszeidą" Krasickiego, zajmuje się L. Bernacki i naprzekór twierdzeniom W. Bruchnalskiego dowodzi, że „heroikomiczne poema" księcia biskupa warmińskiego jest alegorją. Nowością w dziale literatury opowiadającej jest ogłoszenie nieznanej powieści Bartosza Paprockiego „Historja o Ekwanusie, królu skockim". Wydawcą jej jest p. Juljan Krzyżanowski, obecnie prof. uniw. w Lublinie, najlepszy znawca literatury XVII w. w Polsce; znawstwa swego dowód daje w doskonałej i gruntownej ocenie dwóch ostatnich wydań „Pamiętników" Paska, opracowanych przez Czubka (Ossolineum) i Brücknera (Bibl. Nar.). Ze zwykłą sobie skrupulatnością filologiczną omawia różne utwory poetów polsko-łacińskich prof. Ganszyniec; zbyt drobiazgową wydaje mi się analiza formy wierszowej poemaciku S. Karnańskiego p. t. „Rytmus Hospitalis" — ja widzę w tym utworze nie jakieś katalektyczne i brachokatalektyczne trocheje, ale poprostu nasz poczciwy i niedbały trzynastozgłoskowiec polski, wprowadzony naprędce do łaciny; tego rodzalu „rytm", nie troszczący się zgoła o prozodję i akcenty, spotkać można jeszcze dzisiaj w poezjach współczesnego poety polsko-łacińskiego, Kaz. Lubeckiego.

Klasyczność wogóle sporo miejsca zajmuje w omawianym roczniku „Pamiętnika". Ciekawa jest rozprawa R. Skulskiego „Mit o Piramie i Tisbie w literaturze polskiej", ujawniająca, jak popularna była u nas ta baśń owidjuszowa, której karykaturę dał Szekspir w „Śnie nocy letniej". Trochę nieporadna w budowie i niedokończona jest rozprawa L. Kalisza „Liryka Kniaźnina a poezja klasyczna", ponadto zawiera sporo błędów, zwłaszcza co się tyczy utworów Safony; fałszem jest twierdzenie, że „teksty greckie zawierają ni mniej ni więcej, tylko sześć utworów i fragmentów" — w teubnerowskiem wydaniu jest fragmentów aż 98, a cztery „utworki" można uważać za całkowite. Ponieważ p. K. widocznie utworów tych i fragmentów dokładnie nie zna (wogóle, zdaje się, nie zna i języka, bo w przytaczanych przezeń wyrazach i cytatach greckich naliczyłem aż 15 błędów), przeto spotykając w wierszu Kniaźnina nagłówek „Z Safony", utrzymuje, że Kniaźnin musiał wiersz ten przetłumaczyć skądinąd, a nie z poetki greckiej. Tymczasem np. owa podawana przez p. K. w wątpliwość zwrotka o Attysie — zmienniku, kochającym Andromedę, naprawdę znajduje się pomiędzy utworami Safony (np. editio Neuiana 37).

*) Pamiętnik Literacki, czasopismo kwartalne poświęcone historji i krytyce literatury polskiej, wydane przez Tow. Lit. im. A. Mickiewicza pod redakcją Wilhelma Bruchnalskiego. Lwów 1924/25. Rocznik XXI:

Do czasów pseudoklasycyzmu odnosi się też i studjum J. Zaleskiego o monologu w dramacie. Zagadnieniami dramaturgji zajmuje się i H. Życzyński, zbijając teorje powieściopisarza niemieckiego, G. Freytaga. Na innem miejscu zajmuje się stosunkiem Mickiewicza do poezji staropolskiej; Mickiewiczowi poświęcone są i inne prace: Z. Ciechanowskiej „Mickiewicz a Goethe" (temat już nie nowy i ujęty nienajlepiej), Z. Reutt-Witkowskiej „Arcyserwis Wojskiego" i prof. F. Ilesic'a „Mickiewicza Golono-strzyżono"; to zajęcie się Serba poezją Mickiewicza jest jakgdyby hołdem wdzięczności za prelekcje paryskie. Samemi prelekcjami zajmuje się L. Płoszewski, wydając po raz pierwszy z autografu tekst wstępnego wykładu Mickiewicza w Collège de France. Rozprawka K. Kleina „Moment psychologiczny w mickiewiczowskim przekładzie Euthanazji Byrona" jest przykładem nowych metod badania twórczości poetyckiej. Więcej uzasadniona jest metoda psychoanalityczna w badaniu twórczości Słowackiego; jednakowoż praca S. Baleya „Psychoanaliza jednej pomyłki Słowackiego" („róźo złota" w „Anhellim") jest za rozwlekła i bawiąca się w kabały rebusowe (twarde „ru" i miękkie „li"!)— czyż nie dość było powiedzieć poprostu, że Słowacki lubił kolor złoty, jak każdy artysta ma predylekcję do pewnej barwy? Poemat „W Szwajcarji" pięknie analizuje Z. Łempicki, określając (nie on pierwszy zresztą!) pierwiastek miłości, będący treścią poematu, jako dantejski. Dzieło J. Kleinera o Słowackim omawia prof. B. Gubrynowicz.

Jako podzwonne przedwojennych upodobań mamy w recenzjach obszerne „Norwidiana", pióra Borowego (dołącza się do nich i recenzja E. Kucharskiego), który bystro i z wrodzoną sobie ścisłością krytykuje teksty ostatnich wydań pism Norwida; słuszny wyrzut uczyniono księgarzowi Mortkowiczowi, że nie dotrzymał zobowiązań w tym kierunku. O upodobaniach późniejszej generacji historyków literatury świadczy mnogość materjałów, odnoszących się do Towiańskiego (L. Płoszewski, S. Koczorowski, J. G. Pawlikowski); na wspak im staje recenzja E. Kucharskiego z książki Zygm. Wasilewskiego o Sew. Goszczyńskim: „Trochę takiej zimnej wody (mówi Kucharski), jaką tryskają choćby *Ostatnie akordy*, przyda się nam bez wątpienia, zwłaszcza po najnowszych próbach beatyfikacji poczciwych safandulstw mistycznych pana Andrzeja".

Jest rzeczą charakterystyczną, że po wojnie obudził się na nowo kult Kraszewskiego; dowodem tego jest pokaźna ilość ponownych wydań jego powieści (w „Biblj. Narodowej", „Wielkiej Bibljotece", „Bibl. domu polskiego", nawet w „Bibljotece groszowej"). W „Pamiętniku" nie doczekały się one narazie recenzji; za to W. Hahn (sam doskonały wydawca „Morituri" w „B. Narod.") ocenia bardzo surowo, ale sumiennie, pracę A. Bara „Charaktarystyka i źródła powieści Kraszewskiego w latach 1830 — 50" i „Nigdzie (rzekomo — *przyp.*) nie drukowane poezje" Kraszewskiego, wydane nakładem „Bluszczu".

Drobne przyczynki o Wyspiańskim dali: H. Życzyński i S. Warszawska. Nowością jest ciekawy artykuł M. Kasterskiej: „Tadeusz Hyżden (pisarz, poeta i tłumacz) Rumun, szlachcic polski z XVIII w.". B. Gubrynowicz ogłasza nieznany wiersz Niemcewicza o Kościuszce (z r. 1815) oraz garść szczegółów o Brodzińskim, a S. Skwarczyńska dwa nieznane listy Garczyńskiego. Niezmiernie ciekawe, bo ilustrujące nastrój społeczeństwa polskiego w Galicji w okresie represyj Bacha, są ogłoszone przez W. Bruchnalskiego listy i szczegóły biograficzne, odnoszące się do młodo zmarłego a zdolnego powieściopisarza Walerego Łozińskiego, którego dzieła, tak niegdyś poczytne, dziś niesłusznie idą w zapomnienie.

Metody układu dzieł poetów i wydawania tekstów omawia A. Chorowiczowa. Kwestją krytyki literackiej zajmuje się E. Kucharski, oceniając dwie książki: M. Kridla „Krytyka i krytycy" i Z. Łempickiego „O krytyce literackiej"; pierwszej z nich zarzuca apodyktyczność, drugą zaś chwali za ścisłość metodologiczną.

Słuszne cięgi od A. Semkowicza dostają się L. Stolarzewiczowi za jego wielce niedbałą „Bibljografję mickiewiczowską" (np. z L'orage — burzy z „P. Tadeusza", tłumaczonej przez Gasztowta, — zrobił p. Stolarzewicz jakiegoś p. L. Orage, autora rzekomej pracy o „P. Tadeuszu"!...). A propos bibljografji należy wyrazić żal, że ten pożyteczny dział, tak niegdyć doskonale prowadzony przez Hahna, obecnie redakcja „Pamiętnika" skasowała.

JÓZEF BIRKENMAJER

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Kornel Makuszyński wydał u Gebethnera i Wolffa „Wycinanki". Wyciął je z dzienników, gdzie były drukowane w charakterze feljetonów. I dobrze zrobił, bo są wesołe.

Makuszyński ma dar towarzyski spędzania ludziom troski z czoła, zagaduje ludzi, żeby mu czasem nie kazano czegoś powiedzieć. Bo powiedzieć można rzecz przykrą. Są pisarze, którzy ciągle czegoś szukają, są inni, którzy już znaleźli. Tamci robią kłopot, ci pognębiają. Makuszyński nie szukał, nie znalazł, on wszystko ma: żartuje i z tych i z tamtych. Ma na wszystko żart, więc pewno jest bogaty, bo dobry żart tynfa wart.

O pisarzu wojowniczym, pomnażającym salwy grą słów, które cios ustokrotniają, ktoś powiedział: dla Boga, on tak pisze, jakby leciał z góry. Inny się dobrze namozoli, zanim syllogizm ukuje —

jakby szedł pod górę. A Makuszyński zawsze wypoczęty siedzi sobie w dolinie i robi kawały — dla kawału. Ani o drogę pyta, ani kogo zwiedzie.

Wycinanki — to całe pudełko niespodzianek pyrotechnicznych dowcipu. Nie parzy to, ale wiele uciechy może sprawić.

Przy sposobności miło nam nadmienić, że Makuszyński przyrzekł, „Myśli Narodowej“ swoje współpracownictwo.

*

W zeszycie obecnym „Myśli Narodowej“ czytelnicy znajdą artykuły trzech wybitnych uczonych profesorów wszechnic polskich: Romana Rybarskiego, prof. ekonomji na uniw. Warszawskim, Adama Fischera, profesora etnologji w uniw. Lwowskim, oraz Ignacego Chrzanowskiego, prof. literatury polskiej w uniw. Krakowskim.

Otrzymaliśmy teraz list od profesora antropologji i dziekana w uniw. Lwowskim Jana Czekanowskiego który przyrzeka nam współpracę, gdy upora się z pracą nad pierwszemi czterema tomami monografji o ludach Afryki. Dzieło to pewno w tym jeszcze roku wyjdzie z pod prasy.

Oczekujemy nadto na prace przyobiecane profesorów uniwersytetu: Wilhelma Bruchnalskiego, Stanisława Głąbińskiego, Tadeusza Grabowskiego, Władysława Konopczyńskiego, Józefa Kostrzewskiego, Eugenjusza Kucharskiego, Antoniego Peretiatkowicza, Stanisława Pigonia, Wiktora Porzezińskiego, Wacława Sobieskiego, Edwarda Taylora, Jana Tura, Kazimierza Tymienieckiego, Bohdana Wasiutyńskiego i in.

*

W numerze dzisiejszym drukujemy urywek mistrzowskiego przekładu „Burzy“ Szekspira, dokonanego przez p. Barbarę Zan na prośbę kierownictwa literackiego Teatru Narodowego. Tworząc podwaliny „żelaznego repertuaru“ pierwsza scena polska przygotowuje szereg najwybitniejszych arcydzieł literatury europejskiej w przekładach znakomitych. Pierwszem był „Don Juan“ Zorilli w spolszczeniu Miłaszewskiego. Drugiem jest „Faust“, tłumaczenia Zegadłowicza. Trzeciem będzie „Burza“.

*

Dowiadujemy się, że firma wydawnicza Św. Wojciecha w Poznaniu wyda wkrótce książkę senatora Władysława Jabłonowskiego p. t. „*Amica Italia*“. Autor, którego „Myśl Narodawa“ zalicza do grona swoich współpracowników, należy do najlepszych znawców Włoch i literatury włoskiej. Studja swoje, pogłębione podróżami, poświęcił faszyzmowi. Będzie to pierwsza książka polska, poświęcona temu ruchowi narodowemu Włoch powojennych. Dotychczas mieliśmy jedynie przekład niemieckiej pracy Bernharda

Z ZAGRANICY

W wydawnictwie włoskiem „Pisarzy Obcych“ („Scrittori Stranieri“), którego kierownikami są dwaj dobrze już znani w Polsce dyrektorowie rzymskiego „Istituto per l'Europa Orientale“, pp. A. Giannini i prof. A. Palmieri, wyszedł świeżo przekład dwóch utworów J. Słowackiego, mianowicie „Jana Bieleckiego“ i „Genezis z Ducha“. Przekładu dokonał prof. Palmieri, i poprzedził go wstępem o „poezji młodzieńczej J. Słowackiego“, w którym charakteryzuje pierwszą fazę twórczości poety oraz poszczególne jego utwory z tych czasów, między innemi przełożonego prozą, Jana Bieleckiego“. Do przekładu tego młodzieńczego poematu Słowackiego dodał tłumacz przekład „Genezis z Ducha“, a więc utworu, należącego do ostatniej epoki jego twórczości.

Prof. Palmieri bardzo trafnie charakteryzuje w przedmowie ten kosmogoniczny poemat Słowackiego; w tem zresztą nic dla nas niema nowego. Jest tu wszakże jedna uwaga, niepozbawiona i dla badacza polskiego pewnej nowości. „Słowacki poetyzując — powiada prof. Palmieri — staje się lirykiem geologji, która jest prawdziwie, jak ją określa najzdolniejszy i najpoetyczniejszy z geologów włoskich Stoppani — olbrzymim dramatem“. („Okresy geologiczne — są słowa Stoppani'ego — są aktami tego dramatu. Rozwijają się one niezależnie jedne od drugich, osoby zaś pierwszego różnią się od osób drugiego etc...“).

„Podług mnie — powiada dalej prof. Palmieri — czytanie „Kursu Geologji“ Stoppani'ego („Corso di Geologia“ t. I. Milano 1871 r.) byłoby użyteczne dla lepszego pogłębienia liryki bądź dramatu fantastycznego Słowackiego. Konkluzje obu tych utworów są identyczne“... Może ktoś z naszych badaczów Słowackiego uwzględni powyższą radę prof. Palmieri'ego.

W końcu swojej przedmowy prof. Palmieri zapowiada przekład innych pism mistycznych J. Słowackiego, który zostanie włączony do zbioru „Scrittori Stranieri“. W kolekcji tej — dodajmy — ukażą się wkrótce przekłady „Irydjona“ i „Nieboskiej Komedji“ Z. Krasińskiego oraz „Godów życia“ A. Dygasińskiego.

TEATR

Z TYGODNIA

Z WARSZAWSKICH widowisk teatralnych ubiegłego tygodnia na szczególne odznaczenie zasłużyły wystawione w Teatrze Narodowym „Grube ryby“ Bałuckiego (z Frenklem, Kamińskim), dalsze wieczory „Hetmana Żółkiewskiego“ Brończyka, wreszcie wznowiona „Zemsta“ Fredry. W obsadzie tej komedji zaszły zmiany następujące: rolę rejenta po ś. p. Rapackim objął Chmieliński, Papkina po Solskim, który tej roli się zrzekł, grał Jerzy Leszczyński, po Osterwie zaś Wacława grał Hnydziński. Podstolinę odtworzyła p. Rotter-Jarnińska. Cześnika, jak dawniej, grał Frenkiel, Dyndalskiego — Kamiński, Klarę — Majdrowiczówna. Na tej nowej obsadzie „Zemsta“ naogół nie straciła. Leszczyński w roli Papkina okazał się doskonały. Nie czyni to ujmy Solskiemu, który zresztą sam zdawał sobie sprawę, że nie jest dobrym Papkinem. Leszczyński grał z brawurą polskiego Tartarin'a i utrafił. Chmieliński musiał wytrzymać porównanie niebezpieczne z Rapackim, który miał temperament Milczka. Stworzył postać oryginalną, ale nie zawsze przekonywającą, z poza maski bowiem przeglądało dobre oblicze człowieka, nie znającego złośliwości. Zupełnie poprawna była p. Rotterowa, p. Hnydziński za mało wżył się we Fredrę. Artyści starsi, znający tradycje fredrowskie, powinni mu być wzorem. Dzieło Fredry zachowuje na scenie barwę historyczną wtedy, gdy niektóre ustępy, intencjonalnie w swoim czasie przez aktorów podkreślane, i dziś są z naciskiem mówione. Do takich należą np. kwestje Cześnika o szabli, zawieszenie broni gdy wróg jest gościem. W romansie Wacława są uboczne potrącenia o strunę uczuć narodowych i ta struna powinna brzmieć teraz, jak ją tradycja nastroiła (ustęp o wierności i czekaniu).

Z utworów polskich odegrano w Warszawie dramat, Emila Zegadłowicza „Głaz graniczny“. Ukazała się ta piękna sztuka, znana nam niestety tylko z druku, w teatrzyku na Pradze. Sprawozdawcy podnoszą wysoko wartość sztuki i widowiska.

W teatrze Małym dano komedję Caillaveta, Flersa i Reya „Ładna historja“. Jest to utwór nie nowy, grany już nieraz w Warszawie, ale tak wielkie ma wartości artystyczne, że na uznanie zasługuje jego wznowienie. Drzewo przesadzone, choćby z ziemi tak pokrewnej kulturą, traci na autentyczności. Podeschły lub zgoła odpadły listki, którym dawał życie odczuty przez autorów tradycjonalizm pewnych typów francuskich w zestawieniu z typami miejskimi.

Pomimo wszystko utwór robi bardzo miłe wrażenie, imponuje doskonałością schematu komedjowego i bogactwem rysunku. Zastanawia nas w Warszawie, w jaki sposób ci trzej pisarze mogli tak składną i jednolitą rzecz stworzyć, że szwów na tem nie znać. Wyjaśnienia szukać należy w wysokiej kulturze artystycznej tych pisarzy francuskich. Wysokość kultury mierzy się według świadomości artystycznej twórcy. Wtedy jest możliwa spółka, kiedy każdy ze spólników zdolny jest powiedzieć o sobie, co umie, co może zrobić. Literat w niskiej kulturze niema tego krytycyzmu, na wszystko się rzuca, jak z motyką na słońce i gdyby nawet chciał, nie umiałby się z innym podzielić pracą. Zwłaszcza, gdy nieraz jedynym motywem tworzenia bywa dla niego honorarjum, którego dzielenie byłoby już nonsensem. Świadomość celu artystycznego i środków w połączeniu z umiłowaniem życia sztuki, które istnieje i rozwija się tylko przez tworzenie rzeczy wartościowych, mogą dawać tę zgodność ręki w jednem dziele różnym indywidualnościom.

Z. W.

NA MARGINESIE

„Słowo" wileńskie twierdzi, że „Robotnik" jest starym „aktorem operetkowym, udającym temperament", albo też, w innem określeniu, „pismem rentjerów socjalizmu, którzy chcą, aby socjalizm bez zbyt głośnych krzyków przynosił im stałe i równe odsetki polityczne". W obu wypadkach byłby godnym pożałowania, gdyby nie to, że dziś zarówno starzy aktorzy, jak posiadacze akcyj należą do proletarjatu, którego przecie on jest organem.

*

P. Piłsudski, polemizując w „Kurjerze Porannym" z gen. Kukielem, którego nazywa nikczemnym fałszerzem i głupcem, „udającym bezczelnie z małpim grymasem człowieka", mówi o sobie, że „sztandary wojska, którem dowodził, ozdobił laurem zwycięstwa, tak dawno nieznanym w historji polskiej". Chociaż on sam i jego czciciele od kilku lat przypominają nam niezmordowanie ten laur, którego najpiękniejszy liść, nazwany imieniem „Chrobrego", zdobyty został w wyprawie kijowskiej, jedynie upodobniającej naszego genialnego wodza do Napoleona, powracającego z Moskwy, naród ciągle w tym wawrzynie widzi liść bobkowy. Ponieważ jednak taka chwała nie powinna się zatrzeć w jego dziejach, więc dla utrwalenia należy ją włączyć w pacierzu, jeśli nie do sakramentów, to przynajmniej do grzechów głównych obok „pychy".

*

Kurjer Polski podaje rozmówkę dwóch posłów w szatni sejmowej, zakończoną takiemi słowami:

— „Jesteś pan zbrukany... Masz najbrudniejsze ręce".

— „Możliwe"—odparł uczęstowany.

To „możliwe" kryje w sobie zagadkę niezmiernie trudną do zrozumienia. Co ono miało znaczyć? Czyżby to, że w Sejmie są potrzebne łazienki?

*

Pewien publicysta francuski nazwał polityczny ustrój Polski „zlekka bolszewickim". Jak gdyby dla potwierdzenia tej opinji, znany bolszewik Leszczyński (podobno ten sam, do którego jeden z posłów grupy Wyzwolenia podczas pobytu w Rosji zwracał się o zapomogę) sprowadzony do sędziego śledczego, skorzystał z tak wielkiej swobody, że mógł wyjść i zniknąć. Organy prasy zabrzmiały oburzeniem, a między niemi odezwały się nawet te, które bronią naszego ustroju „zlekka bolszewickiego". Pochodzi to stąd, że nasi socjologowie i publicyści wyznania marksowskiego perfumują się chętnie rozcieńczonem piżmem komunistycznem, ale gdy powąchają stężone, czują kręcenie w nosie i zaczynają kichać burżuazyjnie.

*

Gazownia warszawska przeszła na własność miasta. Jest ona— jak twierdzi jedno z pism — „najrentowniejszem przedsiębiorstwem miejskiem". Dziś—ale czy będzie takiem za lat kilka? Czy nie pojawią się w niej, jak prawie we wszystkich przedsiębiorstwach rządowych i samorządowych, deficyty, dopłaty, wygórowane pensje, nadmierne ilości samochodów, umeblowania mieszkań prywatnych na koszt zakładu, nowe posady dla kierowników i inne służebności, towarzyszące zwykle naszym instytucjom publicznym? Podobno Berlin wymościł swoje ulice z gazowni. Gdyby gazownia warszawska pokryła asfaltem tylko podwórza domów akademickich, już to byłoby miłą niespodzianką dla nas, przyzwyczajonych słyszeć, że nawet wielowiekowe i dobrze zagospodarowane majątki ziemskie państwowe przynoszą niedobór, niepozwalający sprawić dostatecznej ilości smarowidła do wozów.

*

Bratnia pomoc studentów zbudowała już jeden dom akademicki i wznosi drugi. Wobec wielkiego niedostatku i drożyzny mieszkań, a nadto wobec strasznej, morderczej nędzy młodzieży wyższych zakładów naukowych jest to dla niej dzieło pomnikowe. A powstało ono nie ze wspaniałych darów bogaczów, którzy u nas takich pobudek nie uczuwają, ale z tylu drobnych składek, ile jest cegieł w tych domach. Niestety, tylko część największego i najszlachetniejszego z proletarjatów znajdzie w nich pomieszczenie. Obecnie odbywa się znowu kwesta Bratniej pomocy na jego dochód. Nie żałujcie ofiar, które są już nietylko obywatelskie, filantropijne, ale patrjotyczne.

*

Jeden z teatrzyków kinematograficznych ogłasza w dziennikach bardzo wstydliwych nowy film: „Na gorącym uczynku! Wytwornie pikantny i drastyczny komedjo-dramat, odsłaniający tajemnicę sypialni małżeńskiej, oraz zrywający zasłonę z buduaru pięknej kobiety". Natłok widzów wielki, a gdy teatrzyk zrobi jeszcze jeden, maleńki krok i przedstawi tajemnice domu publicznego, ciżba będzie jeszcze większa. A na wykończenie domu akademickiego brak pieniędzy!

KRONIKA OGÓLNA

SPRAWY WEWNĘTRZNE

Dn. 2 listopada o godz. 1 p. p. złożono w Warszawie zwłoki Nieznanego Żołnierza do grobowca pod arkadami Pałacu Sztabu Generalnego.

Dyskusja nad poprawkami Senatu do ustawy o reformie rolnej dała znów w Sejmie powód do obstrukcji, będącej, jak zawsze, ulubioną metodą akcji politycznej klubu „Wyzwolenie".

Ustawa sanacyjna uchwalona została w drugiem czytaniu przez połączone komisje sejmowe: skarbową i budżetową.

Prezes Rady Portu w Gdańsku pułk. de Loes zgodził się na podstawie opinji rzeczoznawcy z ramienia Ligi Narodów hr. Graviny na powiększenie polskiej załogi strażniczej na Westerplatte.

Nowa linja kolejowa Chorzów-Szarlej otwarta została w obecności przedstawicieli władz i społeczeństwa.

W Warszawie odbyło się walne zebranie Polskiej Macierzy Szkolnej, przy licznym udziale delegatów z całego kraju. Dokonano wyboru nowych władz, referaty wygłosili p.p. Z. Skoczylas i J. Stemler.

SPRAWY ZAGRANICZNE

Nowy rząd francuski, utworzony został pod przewodnictwem dotychczasowego premjera Painlevé'go, który objął również stanowisko ministra skarbu.

Przesilenie rządowe w Niemczech nie jest dotychczas załatwione. Stronnictwa lewicy, korzystając z usunięcia się z rządu nacjonalistów, pragną uzyskać większy, niż dotychczas, wpływ na wewnętrzną politykę Rzeszy.

W Sztokholmie podpisany został traktat arbitrażowy polsko-szwedzki.

Parlament perski uchwalił detronizację szacha i wprowadzenie na tron nowej dynastji. Premjerem został Riza-Khan, nacjonalista. Przewrót jest ciosem dla szerzących się ostatnio w Persji wpływów sowieckich.

KRONIKA ŻAŁOBNA

We Lwowie zmarł ś. p. Tadeusz Cieński, senator, b. prezes Rady Narodowej w b. zaborze austryjackim, jeden z najbardziej zasłużonych działaczy politycznych ostatniej doby.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu D. A. Grają w Panu jakieś szlachetne popędy, ale nie umie ich Pan określić, tem trudniej Panu niejasną myśl wyrazić w formie poetyckiej. Poezja warta jest czytania, gdy jest dziełem człowieka doskonale zdającego sobie sprawę ze swych uczuć, przytem utalentowanego. Z nadesłanej próbki nie widać, aby Pan miał talent: onby się wyraził choćby w muzyczności wiersza. Pisze Pan:

Wiwat, wiwat zapomnienia!
Niech nam tylko świeci gwiazda,
W której szczęścia są płomienia!
A więc do kielichów—jazda!

Jeżeli za każdą strofką poeta wychyla kielich wódki, to przy dziesiątej może tak improwizować, Ale dlaczego, mój Panie, tam w województwie wileńskim podniecacie natchnienia alkoholem, a powtóre dlaczego liczbę mnogą od płomień formujecie płomienia? Gdyby Pan napisał prawidłowo „płomienie", nie trzeba byłoby dla rymu dawać „zapomnienia", „Wiwat" (vivat) znaczy: niech żyje. Tutaj nie ma ono sensu. Czy przy 12-m kieliszku nawet wołałby Pan: niech żyje śmierć?

Zresztą niech Pan czyta pisarzy klasycznych i dobre uczucia wciela w życie. Ono też potrzebuje poezji. A jazda—*od* kielichów!

Panu L. P. Wiersz jest poprawny, ale robi wrażenie raczej swoją aktualnością, niż siłą myśli i urokiem formy. Odpowiada więcej potrzebom dziennika, niż pisma literackiego, gdzie chciałoby się umieszczać jeśli nie arcydzieła, to przynajmniej dzieła trwałej wartości. Dziękujemy za pamięć i słowa uznania.

Panu W. T. Nie przyda się. Rymy złe. Treść uboga.

Pauu Zb. T. K. Nie zużytkujemy.

Panu J. A. w K. Wskazówki Pana co do oszczędności w budżecie może są cenne, ale musiałoby się nad niemi zastanowić ciało prawodawcze. Nie wchodzi w plany naszego pisma zajmowanie się postulatami tak fachowemi. Może Pan się porozumie z posłem swojego okręgu na Sejm.

Pani H. St. Dziękujemy serdecznie za jednanie nam czytelników. Żądane zeszyty wysłaliśmy. Na kw. IV przyjmujemy zapisy w dalszym ciągu.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.150.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.